TAJEMNICE SKARBY KOLEKCJONERSTWO MILITARIA FORTYFIKACJE PRZYGODA

ODKRYWCA

NR 7(13) SIERPIEŃ 1999 ROK II ISSN 1505-6104 CENA 5,00 PLN

w numerze:

Messerchmitt z jeziora

Mistrzostwa Polski w Płukaniu Złota

X Zlot Miłośników Eksploracji

Ocalić wiatraki

Muzyka motolotni

Skarby latryn

Drukujemy przedwojenne mapy

LM

Szukam, szukania mi trzeba...

SZUKAM, SZUKANIA MI TRZEBA...

Nazwij to, jak chcesz – ciekawością, niepokojem, wewnętrznym imperatywem. Jakkolwiek nazwiesz, chodzi o to samo: o niewytłumaczalną a przemożną potrzebę szukania – skarbów, sensu, tajemnicy, prawdy, wartości, sposobu na życie... Dopóty żyjesz, dopóki idziesz, szukasz, czekasz, marzysz...

X Jubileuszowy Zlot Miłośników Eksploracji

Towarzystwo Eksploracyjne
Poszukiwań Zaginionych Zabytków „Talpa"
organizator
X Jubileuszowego Międzynarodowego Zlotu Miłośników Eksploracji Jelenia Góra-Wojanów '99
zaprasza w dniach **17-19 września 1999 r.**
do wzięcia udziału w imprezie,
która odbędzie się w zamku **w Wojanowie-Bobrowie**

W programie m.in.:
17.09 – otwarcie zlotu, prelekcja
18.09 – zwiedzanie interesujących obiektów, wieczorem – ognisko z atrakcjami
19.09 – I Międzynarodowe Mistrzostwa Karkonoszy w Poszukiwaniach (z nagrodami), występy zespołów regionalnych, piknik

Zainteresowanych uczestnictwem w zlocie prosimy o kontakt:
58-533 Mysłakowice ul. Łokietka 20
tel./fax 075 713 16 53
e-mail: rekucz sp.itme.edu.pl

Komitet Organizacyjny
Prezes Zarządu TEPZZ „Talpa"
Mieczysław Bojko

Jak poinformowali nas organizatorzy, wrześniowe spotkanie miłośników eksploracji będzie połączone z Dniami Promocji Gminy Mysłakowice. Zaplanowano w związku z tym wiele dodatkowych atrakcji.

Decyzją Wojewody Dolnośląskiego utworzona została specjalna komisja do spraw eksploracji i poszukiwania skarbów. Podczas zlotu ma się odbyć spotkanie, na którym komisja przedstawi obowiązujące poszukiwaczy zasady postępowania.

Wojciech Stojak z fragmentem statecznika poziomego nieznanego typu samolotu, prawdopodobnie niemieckiego. Ten element został wydobyty z widocznej na zdjęciu zalanej glinianki w Strachowicach pod Wrocławiem. **fot.** Arkadiusz Pawełek

GDZIE MOŻNA KUPIĆ „ODKRYWCĘ"
W sklepach sieci EMPiK, „KOLPORTER" i DPJ w całej Polsce.

PRENUMERATA
Ogłaszamy prenumeratę do końca roku. Zasady – na stronie 17.

NUMERY ARCHIWALNE
Nakład wszystkich numerów ubiegłorocznych (od „0" do 6/98) oraz 1(7)/99, 2(8)/99, 3(9)/99 i 5(11)/99 został wyczerpany. Oferujemy kserokopie. Cena – 5 złotych. Do nabycia są jeszcze numery 4(10)/99 i 6(12)/99. Jeden egzemplarz kosztuje 5 złotych.
Prosimy przesłać należność za zamówione egzemplarze **przekazem pocztowym** (wyraźnie zaznaczyć na odwrocie, o które numery chodzi) lub dokonać wpłaty bezpośrednio **na konto**:
PKO BP o/Konin 10202746-902450-270-1
Można też zamówić archiwalne numery „Odkrywcy" za zaliczeniem pocztowym, ale jest to najmniej korzystne dla Państwa, gdyż koszt takiej przesyłki (znaczny) musimy doliczyć do ceny zamówionych egzemplarzy.
Ponieważ numerów archiwalnych szybko ubywa, **przed wysłaniem zamówienia prosimy upewnić się telefonicznie**, czy nakład nie został wyczerpany. Telefon: (063) 242 82 60 oraz 242 82 32, dyżur redakcyjny – wtorek, godz. 10.00 – 14.00.

UWAGA! Bardzo prosimy o czytelne wypełnianie druków i podawanie pełnych adresów. Nie mając nazwy ulicy, numeru domu i mieszkania – nie możemy wysłać Państwu zamówionego czasopisma. Prosimy też o wyraźne zaznaczenie, które numery Państwo zamawiacie (z podaniem roku; np. nr 6/99).

SZUKAJ Z „ODKRYWCĄ"!

ODKRYWCA ISSN 1505-6104

TAJEMNICE SKARBY KOLEKCJONERSTWO MILITARIA FORTYFIKACJE PRZYGODA

WŁAŚCICIEL TYTUŁU – WYDAWCA: Wydawnictwo „JMK" – Marek Dudziak, 62-500 Konin, ul. 3 Maja 32
WSPÓŁWŁAŚCICIEL: LM Spółka Akcyjna, 62-510 Konin, ul. Zakładowa 14, tel. (063) 245 63 08, fax (063) 245 63 09, e-mail: bhp@lm.com.pl
ADRES REDAKCJI: 62-500 Konin, ul. 3 Maja 32, tel. (063) 242 82 32, tel./fax 242 82 60; dyżur redakcyjny – wtorek, godz. 10.00 – 14.00
REDAKTOR NACZELNA: Maria Wiatrowska
ZESPÓŁ: Radosław Biczak, Jola Dudziak, Marek Dudziak, Piotr Kurzawa, Kuba Dudziak
WSPÓŁPRACOWNICY DO SPRAW KONTAKTÓW ZAGRANICZNYCH:
Agata Konińska (język francuski), Katarzyna Michalak (język angielski)
OPRACOWANIE GRAFICZNE, ŁAMANIE, DRUK: Agencja Reklamowa „GRAFIK" s.c., 62-510 Konin, Pl. Niepodległości 1, tel. (063) 243-88-00, e-mail: grafik@zet.com.pl

Za treść artykułów odpowiadają autorzy. Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji i skracania tekstów oraz zmiany tytułów. Zastrzegamy sobie także prawo przedruku nadesłanych tekstów i zdjęć w czasopismach współpracujących z „Odkrywcą". Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Nie ponosimy odpowiedzialności za treść ogłoszeń. Nie pośredniczymy w wymianie korespondencji.
Przedruki artykułów i kopiowanie zdjęć – wyłącznie za zgodą redakcji.

Messerschmitt z jeziora

Członkowie Gdańskiego Klubu Płetwonurków „Rekin" wydobyli z jeziora Jaworze koło Drawska Pomorskiego wrak niemieckiego samolotu. Takie znalezisko nie trafia się codziennie, dlatego odwiedziłem prezesa „Rekina" – Jerzego Janczukowicza, który mimo idących pełną parą przygotowań do kolejnego obozu szkoleniowego dla nurków znalazł czas dla czytelników „Odkrywcy".

– W jaki sposób dowiedział się Pan o niemieckim myśliwcu w jeziorze koło Drawska?

– Ta sprawa miała swój początek jakieś trzy lata temu. Mieliśmy w naszym klubie nurka wojskowego – pana komandora Jasińskiego, który mając kontakty w środowisku nurków wojskowych dowiedział się, że podczas regularnie odbywających się ćwiczeń w jeziorze na terenie poligonu Drawsko Pomorskie jeden z nich natrafił na cały niemiecki samolot Focke-Wulf 190. Zaraz po otrzymaniu tej informacji pojechaliśmy na poligon. Dane, którymi dysponowaliśmy, były dość enigmatyczne – punkt odniesienia stanowił pomost, z którego mieliśmy kierować się w lewo pod kątem czterdziestu pięciu stopni i gdzieś na tej linii, na głębokości dwudziestu dwóch metrów miał leżeć samolot. Wiedzieliśmy niewiele, ale podjęliśmy próbę namierzenia wraku. Szukaliśmy go korzystając z sonaru i pożyczonego od pana Michała Łosiaka magnetometru protonowego produkcji brytyjskiej. Przeszukaliśmy cały wskazany rejon, aż do drugiego brzegu – nie było nic. Przy okazji wyszły pewne nieścisłości, na przykład na interesującym nas odcinku głębokość jeziora nie przekraczała dwunastu metrów. Do mnie napływa wiele informacji dotyczących wraków, ale dziewięćdziesiąt dziewięć procent z nich jest wyssanych z palca. Dlatego i w tym przypadku nie sprawdziłem całego jeziora, gdyż wiązałoby się to z dużą stratą czasu, pieniędzy i wysoce niepewnym efektem końcowym.

Sprawa Focke-Wulfa wydawała się zamknięta i tak było, aż do momentu gdy skontaktował się ze mną Janusz Osowiec i zaproponował wydobycie samolotu z jeziora. Ku mojemu zdumieniu chodziło o to samo jezioro Jaworze. Tylko teraz sprawa była o tyle jasna, że mieliśmy dokładne namiary. Dysponujący profesjonalną aparaturą zawodowcy przebadali całe, mające około trzech kilometrów długości jezioro. Miałem okazję oglądać rezultaty tych badań przedstawione na wydruku komputerowym z sonaru bocznego. Wyraźnie zaznaczone były miejsca, gdzie na dnie jeziora występowały anomalie – jedna z nich kształtem przypominała samolot. Dodatkowo to miejsce zostało namierzone bardzo dokładnym GPS-em, tak dokładnym, że gdy później nurkowałem od rzuconej boi sygnalizacyjnej – wylądowałem metr od samolotu. Nie wiem, jaki był koszt tych prac, ale przypuszczam, że spory. A tak na marginesie, to samolot znajdował się około trzystu metrów od miejsca, gdzie szukałem go za pierwszym razem.

– Rozumiem, że w czasie akcji widział Pan samolot jako pierwszy. Jak to wyglądało?

– Woda była nieprzejrzysta, przez co moja ocena miała charakter pobieżny. Samolot leżał do góry kołami na głębokości szesnastu metrów. Przesuwając się od części ogonowej do dziobowej stwierdziłem, że jest to niewielki jednomiejscowy myśliwiec. Jego tylne skrzydła znajdowały się na miejscu, a statecznik tkwił w mule. Kadłub samolotu był przełamany, a skrzydła nie leżały płasko na dnie, tylko były przekręcone o dziewięćdziesiąt stopni. Po tym rekonesansie zapadła decyzja o podniesieniu samolotu. W przeciągu kilku dni zgromadziłem niezbędny sprzęt oraz ludzi i rozpoczęliśmy akcję. Trzy dni zajęło nam wydobywanie tylnej części kadłuba. Mieliśmy dziesięć dwustulitrowych beczek, które kolejno zatapialiśmy, podczepialiśmy linami do wraku i pompowaliśmy powietrzem. Kiedy ten fragment samolotu znalazł się już na brzegu, bez trudu określiliśmy, że jest to Messerschmitt Bf 109 typ G. Samolot przełamał się na wysokości kabiny – studiując literaturę fachową dowiedziałem się, że ten samolot w przypadku awarii bądź zestrzelenia, gdy uderzył o łąkę lub pole, łamał się najczęściej w tym właśnie miejscu.

fot. Jerzy Janczukowicz

– Wiem, że przy wydobyciu drugiej części nastąpiły komplikacje...

– Podeszliśmy do tego standardowo – zatopiliśmy i napompowaliśmy powietrzem dziesięć beczek. Uzyskaliśmy wypór rzędu dwóch ton, ale nie zdołaliśmy wydobyć części dziobowej. Dzięki temu mieliśmy pewność, że ta część jest z silnikiem – wcześniej nie mogliśmy tego stwierdzić, gdyż dziób samolotu tkwił w mule. Taki Messerschmitt ważył około trzech tysięcy dwustu kilogramów, czyli potrzebowaliśmy około tony dodatkowego wyporu. Na kolejną wyprawę zabraliśmy dziesięć dodatkowych beczek i eżektor, którym chcieliśmy wypłukać z mułu silnik. Zaczęliśmy zatapiać beczki i zaledwie trzy zostały napełnione powietrzem, gdy raptem, zupełnie niespodziewanie, wypłynęła druga część kadłuba – ze skrzydłami, ale bez silnika. Trudno przypuszczać, że kilka beczek rozłamało samolot w jednym z najmocniejszych miejsc. Z literatury wynika, że w tym miejscu Messerschmitt miał coś w rodzaju ramy, która łączyła podwozie z częścią kabiny. Dodatkowo rama miała dwa wysunięte elementy w kształcie odwróconej litery „V", które „trzymały" silnik. To była mocna konstrukcja, która musiała ulec uszkodzeniu w momencie uderzenia myśliwca o taflę jeziora.

– Czy będziecie wydobywać silnik?

– Oczywiście. Czeka nas jeszcze jedna akcja. Chcemy wydobyć silnik i drobniejsze części samolotu. Beczki i eżektor zostały na miejscu i wkrótce wrócimy do tematu.

– W jakim stanie jest wydobyty Messerschmitt?

– Samolot jest rozłamany na trzy części i mocno pokiereszowany, ale nie jest najgorzej – jego stan oceniłbym na dostateczny. Wspaniale zachowały się dwa karabiny MG sto trzydzieści jeden, kaliber trzynaście milimetrów, które były zamontowane przed kabiną pilota. Nie wiemy, co spowodowało upadek myśliwca, ale autorytatywnie mogę stwierdzić, że wcześniej samolot płonął. Nie znaleźliśmy w nim żadnych przestrzelin ani odłamków, nie było również śladów po pilocie. Z zebranych przez nas informacji wynika, że obok jeziora mieściło się niemieckie lotnisko wojskowe, które zresztą po wojnie było lotniskiem polskim, a później zapasowym. Być może nasz Messerschmitt uległ awarii podczas lotu ćwiczebnego, ale nie można uznać tego za pewnik.

– Czy na samolocie znaleźliście jakieś cechy pozwalające odtworzyć jego historię?

– Na kadłubie jest ogromna cyfra „3", która jednak mówi nam tylko, jakie było miejsce myśliwca w danym skrzydle. Ciekawszy jest numer fabryczny, który zlokalizowaliśmy na ogonie. Myślę, że dzięki niemu uda się ustalić pewne fakty, jednak wymaga to żmudnych poszukiwań i musi trochę poczekać.

– Jakie będą dalsze losy Messerschmitta z jeziora?

– Chcielibyśmy przekazać go do któregoś z muzeów wojskowych. Pytanie tylko, czy któraś z placówek muzealnych będzie zainteresowana Messerschmittem. Niestety, nasze dotychczasowe doświadczenia nie nastrajają optymistycznie. Dla przykładu; w ubiegłym roku pracowaliśmy nad wydobyciem części z dużego amerykańskiego bombowca B-17, który leży w jeziorze pod Szczecinem. Wydobyliśmy między innymi duży kawał skrzydła z piękną amerykańską gwiazdą. Ten element miał przeszło sześć metrów długości i trzy metry szerokości – czyli spory kawał samolotu. Początkowo próbowa-

DOKOŃCZENIE NA STR. 2

„Gryf Pomorski" – schron Szóstaka

Miesiąc temu pisałem o odnalezionym archiwum „Gryfa Pomorskiego". Jako że temat był niezwykle „gorący", a czasu niewiele, nie wszystko zostało w należyty sposób wyjaśnione. Przypomnijmy: Józef Weltrowski – historyk amator – i Fundacja na Rzecz Odzyskania Zaginionych Dzieł Sztuki „Latebra" na strychu domu państwa Trzcińskich w Czarnej Wodzie znaleźli m.in. konspiracyjne meldunki „Gryfa Pomorskiego", odręczne szkice terenu z naniesionymi obiektami o znaczeniu strategicznym, listy nazwisk okolicznych mieszkańców z podziałem na patriotów i „volksdojczów", 340 egzemplarzy wydawanego w podziemiu „Głosu Serca Polskiego" oraz elementy radiostacji.

Dotknąć historii... Krzysztof Bartnik i Robert Stanita na strychu domu, gdzie było ukryte archiwum „Gryfa".

Czy pod stodołą rzeczywiście znajduje się schron „gryfowców"?

Tajna Organizacja Wojskowa „Gryf Pomorski" formalnie zawiązała się 7 lipca 1941 roku w Czarnej Dąbrowie, w kwaterze Bolesława Żmudy-Trzebiatowskiego*. W jej skład weszły trzy inne organizacje podziemne: Tajna Organizacja Wojskowa „Gryf Kaszubski", Wojskowa Organizacja Niepodległościowa kryptonim „Karol" oraz grupa Józefa i Leona Kulasów. Już sama nazwa wskazuje, że „Gryf Pomorski" swoje korzenie wywodził przede wszystkim z TOW „Gryf Kaszubski" – organizacji powstałej z inicjatywy oficerów TOW w Wolnym Mieście Gdańsku jeszcze w grudniu 1939 r.

TOW „Gryf Pomorski", zgodnie z deklaracją ideową, miała charakter katolicki, ponadpartyjny, wojskowy. Terenem działania było Pomorze i Prusy Wschodnie, a celem – pomoc ludności polskiej oraz przygotowanie zbrojnego powstania, które miało wesprzeć desant polski z Zachodu. Wiosną 1943 roku organizacja liczyła 6-8 tysięcy członków (według innych przekazów 12-18 tysięcy), jednak w wyniku kilku dekonspiracji, które nastąpiły na skutek przechwycenia list personalnych „gryfowców" przez gestapo, w końcu 1944 roku stan osobowy „Gryfa" zmalał o połowę. Zakres działania organizacji był niezwykle szeroki – od pomocy poszkodowanym Polakom, walki o zachowanie języka polskiego i religii, działalności informacyjno-propagandowej (m.in. rozpowszechnianie wiadomości z nasłuchów radiowych i prasy konspiracyjnej), poprzez wywiad i kontrwywiad (m.in. rozpoznanie sił i infrastruktury nieprzyjaciela, np. rozmieszczenia jednostek w portach i stoczniach), aż do likwidacji konfidentów i zbrodniarzy oraz akcji sabotażowych i bojowych. Struktura bojowa „Gryfa" oparta była na 35 grupach leśnych i oddziałach partyzanckich liczących około 500 osób, działających na bazie 200 (!) schronów ziemnych. Według niepełnych danych, wykonano 111 akcji bojowych. Niestety, po wojnie nie obeszło się bez represji ze strony NKWD oraz UBP i niejeden „gryfowiec" powracający z niemieckiego obozu koncentracyjnego trafił za kraty polskiego więzienia.

Józef Weltrowski szukał „swojej" konspiracyjnej gazety od wielu lat

Dom państwa Trzcińskich należał wcześniej do rodziny Szóstaków. Marian Szóstak aktywnie działał w konspiracji; podobno w Czarnej Wodzie miał zainstalowany radioodbiornik, dzięki któremu słuchał serwisu informacyjnego z Londynu. Wiadomości trafiały później na łamy „Głosu Serca Polskiego". Na początku wojny ojciec Mariana – czarnowodzki policjant – został zastrzelony przez Niemców. Przypuszcza się, że Marian Szóstak przez jakiś czas ukrywał się przed Niemcami – z tego okresu miałyby pochodzić portrety i płaskorzeźby. Wiadomo, że po wojnie wyjechał do Anglii, być może jeszcze żyje... Ukryte przez niego materiały zostały szczęśliwie odnalezione – pytanie tylko, czy wszystkie. Z informacji zdobytych przez Józefa Weltrowskiego wynika, że pod stodołą Szóstaka powinien znajdować się schron, w którym organizowano zebrania i obsługiwano radiostację. Znawcy tematu uważają, że znalezione na strychu podzespoły i akumulatory mogły stanowić elementy radiostacji. Do poszukiwań schronu eksploratorzy z „Latebry" przystąpili zaraz po odkryciu archiwum. Jak dotąd, prowadzone za tylną ścianą stodoły wykopy nie przyniosły rezeultatu, a według przekazu powinno znajdować się tam zapasowe wyjście. Tylko czy takie wyjście musiało istnieć? „Gryfowcy" zapewne zdawali sobie sprawę, że w przypadku dekonspiracji i niemieckiej obławy zostanie otoczony i przeszukany większy teren, a wtedy znajdujące się tuż za budynkami wyjście na niewiele mogło się zdać. Żeby do końca zbadać sprawę, trzeba przeprowadzić poszukiwania pod posadzką stodoły, teraz pełnej opału. Przyczyna prozaiczna, ale z tego powodu poszukiwania stanęły w martwym punkcie. Państwo Trzcińscy nie chcą się zgodzić na opróżnienie stodoły oraz rozkucie i rozkopanie posadzki i prawdę mówiąc, trudno się dziwić – wykazali już sporo zrozumienia dla sprawy, cierpliwie znosząc myszkujących po całym obejściu poszukiwaczy i dziennikarzy. Potrzeba odrobiny cierpliwości i pewnie temat schronu doczeka się kontynuacji, tym bardziej że pamiątkami po „Gryfie Pomorskim" zainteresowane są również władze.

Tekst i zdjęcia
Radosław Biczak

* Źródło – leksykon autorstwa pułkownika Krzysztofa Komorowskiego „Konspiracja pomorska 1939-1947".

Messerschmitt...

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

liśmy przekazać znalezisko do Muzeum Lotnictwa w Krakowie – niestety, dyrektor muzeum, pan Radwan, stwierdził, że jego placówki nie stać na pokrycie kosztów związanych z transportem skrzydła z Gdańska do Krakowa. Później chcieliśmy je przekazać do Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni, jednak profil muzeum trochę nie przystawał do skrzydła amerykańskiego bombowca i nie wyrażono jednoznacznej chęci przyjęcia eksponatu. Ostatecznie, dzięki wstawiennictwu pana Michała Łosiaka, skrzydło zostało przekazane do Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Notabene – od momentu przekazania eksponatu upłynął nieomal rok, a do dzisiaj nie dostaliśmy żadnego oficjalnego bądź jakiegokolwiek potwierdzenia, że dotarł do muzeum. Z tego, co mi wiadomo, nasze znalezisko leży na forcie w Warszawie i najzwyczajniej w świecie niszczeje. Jeżeli taki los ma spotkać inne wydobywane przez nas pamiątki historyczne, to ja za taką współpracę serdecznie dziękuję. Pewnie rzecz miałaby się inaczej, gdyby chodziło o polski samolot „Łoś", gdyż ani jeden „Łoś" nie ocalał po bitwach kampanii wrześniowej i zapewne znalazłyby się pieniądze na renowację. Nie bez kozery wspominam „Łosia" – mam informację, że w bagnach pod Radomiem został znaleziony samolot tego typu. Prawdopodobnie jeszcze tego lata, przy wsparciu fundacji Jana Tarczyńskiego, będziemy mogli uczestniczyć w akcji wydobywczej. Być może w muzeum znajdzie się miejsce dla „Łosia", ale dla Messerschmitta też by się przydało, bo w polskich muzeach wojskowych nie ma ani jednego.

Rozmawiał
Radosław Biczak

Polskie Bractwo Kopaczy Złota

ZŁOTE STOWARZYSZENIE

W 1992 roku w Złotoryi powstało Polskie Bractwo Kopaczy Złota. Stowarzyszenie to stawia sobie za główny cel odnawianie i kultywowanie tradycji górnictwa złota, tak w tym małym nadkaczawskim miasteczku na Dolnym Śląsku, jak i w całej Polsce.

Pracami Bractwa kieruje Starszyzna Krajowa (zarząd) oraz Wielki Mistrz (prezydent – Jan Kusek), Kanclerz (wiceprezydent – Józef Zatwardnicki) i Strażnik Pieczęci (sekretarz – Krzysztof Maciejak).

Do 1999 r. powstały kluby regionalne – tzw. namiestnictwa PBKZ:

- Śląskie (namiestnik – Zdzisław Herba),
- Wielkopolskie (namiestnik – Piotr Raczek),
- Świętokrzyskie (namiestnik – Andrzej Urbański),
- Mazowieckie (namiestnik – Witold Raczyński),
- Ziemi Łódzkiej (namiestnik – Arkadiusz Noremberg).

W 1994 r. Bractwo zorganizowało w Złotoryi I Międzynarodowe Mistrzostwa Polski w Płukaniu Złota. Stały się one prawdziwym hitem turystycznym nad Kaczawą. Popularnym „płuczkom złota" towarzyszą imprezy kulturalne oraz ciesząca się dużym zainteresowaniem Kaczawska Giełda Minerałów, Skał i Skamieniałości – jedna z największych imprez plenerowych w regionie. Przez pięć kolejnych lat „złota" impreza odbywała się nad Kaczawą. **W tym roku mistrzostwa Polski zostaną zorganizowane w Szklarskiej Porębie.** Tydzień później są mistrzostwa świata w Czechach (Kocaba pod Pragą).

Warto zaznaczyć, iż w 2000 roku organizatorem mistrzostw świata będzie Polskie Bractwo Kopaczy Złota. Z tej okazji do Złotoryi zjedzie się kilkuset poszukiwaczy złota z całego globu, w tym m.in. z Australii i Japonii.

Nad Kaczawą sezon płuczkarski rozpoczyna się wiosną. Latem organizowane są zawody w płukaniu złota o Puchar Sudetów. Od wiosny do jesieni działa Sudecka Szkoła Płukania Złota, która zajmuje się szkoleniem młodych płukaczy, a także prowadzi obsługę wycieczek.

– Płukanie złota to nie tylko wspaniały sposób na promocję małych górniczych miasteczek z Polski, Czech, Niemiec, czy Szwajcarii – mówi Józef Zatwardnicki, kanclerz Bractwa. *– Okazało się, że to także doskonała forma rekreacji. Nad rzekami Sudetów aktywnie wypoczywają całe rodziny.*

Potwierdza to Kauko Launonen, prezydent World Goldpanning Association, federacji, która skupia narodowe stowarzyszenia zajmujące się powrotem do starych tradycji:

– Nie jest ważne ile złota znajdzie się na zawodach w misce. Istotne jest to, że ludzie chcą się ze sobą spotykać w różnych zakątkach świata i szukać go razem. Zamiast dzielić – jak niegdyś, złoto zaczyna dziś łączyć. I o to właśnie nam chodzi.

ŚWIATOWA FEDERACJA – WGA

W 1994 r. w alpejskiej miejscowości Rauris (Austria), w trakcie zjazdu World Goldpanning Association (WGA), Bractwo zostało przyjęte w poczet tej międzynarodowej organizacji jako oficjalny reprezentant Rzeczypospolitej Polskiej.

WGA (Światowa Federacja Płukaczy Złota) skupia narodowe związki płukaczy z całego świata. Siedzibą prezydenta WGA jest Tankavaara w Finlandii. W 1997 r. prezydent Federacji Kauko Launonen odwiedził Złotoryję. Członkowie WGA z poszczególnych państw spotykają się na dorocznych zjazdach, które towarzyszą mistrzostwom świata w płukaniu złota. W zawodach tych mogą startować wszyscy, bez względu na miejsca zajęte podczas mistrzostw danego kraju.

Podczas zjazdu World Goldpanning Association w Dawson City (kanadyjski Yukon), który odbył się w 1996 r., przyznano Polskiemu Bractwu Kopaczy Złota prawo do organizacji w 2000 roku mistrzostw świata. Decyzją PBKZ odbędą się one w Złotoryi w dniach 28 sierpnia – 3 września 2000 r.

Pierwsze zawody w płukaniu złota odbyły się w Tankavaara (Finlandia) w 1974 r. Trzy lata później przekształcono je w mistrzostwa świata. Dopiero w 1982 r. impreza opuściła Półwysep Skandynawski. Kolejne mistrzostwa świata organizowano w następujących miejscowościach: 1982 r. – Heiligenblut (Austria), 1983 – Tankavaara (Finlandia), 1984 – Dawson City (Kanada), 1985 – Ovada (Włochy), 1986 – Rauris (Austria), 1987 – Tankavaara (Finlandia), 1988 – Foix (Francja), 1989 – Goldkronach (Niemcy), 1990 – Dawson City (Kanada), 1991 – Kopparberg (Szwecja), 1992 – Wanlockhead/ Leadhills (Szkocja), 1993 – Tankavaara (Finlandia), 1994 – Rauris (Austria), 1995 – Saint Pardoux (Francja), 1996 – Dawson City (Kanada), 1997 – Vigevano (Włochy), 1998 – Coloma (Kalifornia). Następne mistrzostwa świata zaplanowano: 1999 – Czechy, 2000 – Polska, 2001 – Australia, 2002 – Japonia.

UNIA ZŁOTYCH MIAST

W 1995 roku na złotoryjskim rynku włodarze trzech miejscowości: Zlatych Hor (Czechy) – Vladimir Zacal, Złotego Stoku – Wiktor Lubieniecki i Złotoryi – Kazimierz Zwierzyński, podpisali Unię Złotych Miast. W 1998 r. przystąpiło do niej niemieckie Goldkronach. Unia ma charakter luźny. Mogą do niej przystąpić także inne miasta o przeszłości związanej z górnictwem złota. Głównym zadaniem Unii jest wzajemna promocja i wspieranie inicjatyw turystycznych.

PŁUCZKI POD SZRENICĄ

W tym roku po raz pierwszy od wielu lat doroczne **Mistrzostwa Polski w Płukaniu Złota odbędą** się nie w Złotoryi (tu zaplanowano w 2000 r. mistrzostwa świata), lecz **w Szklarskiej Porębie**. Dlaczego w Karkonoszach?

Od wieków góry te znane były poszukiwaczom skarbów i minerałów. Początki poszukiwań złota toną jednak w mrokach historii. Przypuszcza się, iż jak w całym Masywie Czeskim i Sudetach, pierwsi penetrowali te okolice Kreteńczycy i Celtowie. W średniowieczu byli tu Walończycy. O związku gór ze złotem mogą świadczyć historyczne nazwy – Złoty Potok, Złote Jamy, Złotucha i Płócznik. Kruszcu poszukiwano koło Kopańca, w dolinie Małej Kamiennej. Jeszcze w XIX wieku były widoczne ślady po kopalni złota Goldgruben, położonej ok. 1 km na północ od linii kolejowej Piechowice – Szklarska Poręba. Złoto stwierdzono także w aluwiach Białej Doliny, Bielenia oraz koło Czarnej Góry. Grudki kruszcu znaleziono również w dolnych partiach Złotego Potoku, Szrenickiego Potoku, Czarnej Płóczki oraz w wysoko położonych Śnieżnych Kotłach. Dziś obiecujące mogą być potoki pomiędzy Szklarską Porębą a Jagniątkowem. Złoto wypłukiwano też w rejonie Chojnika (Goldloch). Jego występowanie stwierdzono w osadach Izerki, w rejonie Hali Izerskiej, a także w prawym dopływie Izery – Jagnięcym Potoku. Na złoto natrafiono również w Czerwonym Potoku, dopływie Małej Kamiennej, który ma swe źródła na Wysokim Grzbiecie. Śladowe ilości kruszcu odkryto poza tym w potokach spływających z Izerskich Garbów, poprzecinanych kwarcowymi żyłami. Większe jednak ilości złota występują po czeskiej stronie granicy.

Impreza, nawiązująca do dawnych tradycji, odbędzie się w dniach 21-22 sierpnia. Zawody zostaną rozegrane u stóp Szrenicy, przy dolnej stacji wyciągu krzesełkowego.

Startować może każdy chętny, bez względu na wiek i umiejętności. Regulamin przewiduje start w kilku kategoriach – dla panów, pań, dzieci i zespołów.

Informacje i zgłoszenia:

- Polskie Bractwo Kopaczy Złota w Złotoryi: ul. Żeromskiego 15a, 59-500 Złotoryja
- Miejskie Biuro Informacji Turystycznej w Szklarskiej Porębie: tel./fax (075)-717 24 49
- Urząd Miejski w Szklarskiej Porębie: (075)-717 20 55

Uwaga! Będzie możliwość zgłoszenia się w dniu startu.

Zasady zawodów

Regulamin zawodów w płukaniu złota oparty jest na zasadach opracowanych przez World Goldpanning Association. Dzięki temu jest taki sam na wszystkich kontynentach.

Zgodnie z regulaminem zawodników – płukaczy dzieli się na poszczególne kategorie (osobno mężczyźni i kobiety):

- profesjonalistów,
- amatorów (nigdy przedtem nie startowali w zawodach),
- juniorów (do 16 lat),
- weteranów (powyżej 60 lat),
- zespoły kilkuosobowe.

Każdy z płukaczy otrzymuje jednorazowo porcję żwiru w wiadrze (5-20 kg), w którym jest ukryta określona, znana tylko sędziom, liczba ziaren złota (od 4 do 12, ale taka sama dla każdej rundy).

Zawodnicy mogą używać misek o średnicy nie przekraczającej 50 cm i wysokości do 15 cm. Maksymalny czas na przepłukanie żwiru wynosi 20 minut. Zwycięża ten, kto w najkrótszym czasie wypłucze największą liczbę ziaren. Za każde zagubione ziarenko grozi kara w wysokości 5 minut, doliczanych do ogólnego czasu płukania.

Znalezione złoto jest własnością zawodnika.

Krzysztof Maciejak

STRONA REDAGOWANA PRZEZ

Polskie Bractwo Kopaczy Złota – Złotoryja

Walończycy w polskich górach

Walończycy – Walonowie – to lud romański, który przybył w czasie podboju Galii przez Rzymian i pozostał w rejonie zasobnym w bogactwa naturalne, na terenie obecnej Belgii, północnej Francji, Zagłębia Saary. Byli oni fachowcami od wydobywania i przetwarzania bogactw naturalnych, także od eksploatacji srebra i złota rodzimego oraz kamieni szlachetnych. Dzięki temu bardzo ich ceniono na wszystkich dworach książęcych, królewskich i cesarskich. W średniowieczu Walończyków było niewielu. Stanowili specyficzną kastę posiadającą wiedzę tajemną, podobnie jak alchemicy czy astrologowie. Mieli duży wpływ na ówczesnych władców. Nazywano ich inżynierami. Nie parali się ciężką pracą, tylko pobierali próbki i oceniali zawartość złoża. Dopiero później zaczęto nazywać walończykami tych wszystkich, którzy uczestniczyli w pracach wydobywczych, niezależnie od narodowości, pomimo że nie mieli nic wspólnego z tym romańskim ludem. Każdy, kto poszukiwał skarbów, był nazywany walończykiem, także kamieńczykiem lub kamiennikiem.

Z dokumentów wiemy, że Walończycy pracowali już w XI wieku w rejonie Sudetów dla książąt piastowskich. W dorzeczu rzek Kamiennej i Szklarki oraz na Wysokim Grzbiecie Izerskimi znaleźli nie tylko złoto i kamienie szlachetne, ale także odkryli złoża pirytów (siarczki żelaza), na bazie których wytapiano żelazo i produkowano kwas siarkowy. Pozostałością wydobywania pirytu są np. potężne wyrobiska w rejonie Zbójeckich Skał sprzed kilkuset lat. Natomiast przy ujściu Szklarskiej Strugi do Kamiennej są fundamenty starej witriolejni – czyli wytwórni kwasu siarkowego.

Wbrew wyobrażeniom, największym bogactwem nie były kamienie szlachetne, którymi zarzucano wówczas Europę. Pochodziły one z Afryki, Azji, Cejlonu, Indii i Chin. Tam były łatwiej dostępne, a tradycje ich wydobycia i obróbki liczyły sobie tysiące lat. U nas, w oparciu o złoża kwarcu i liczne cieki wodne, rozwinęło się szklarstwo, które stało się fundamentem rozwoju osadnictwa. Najważniejszą bazę wypadową poszukiwaczy skarbów stanowiła Szklarska Poręba Dolna, wówczas nazywana Starą Wsią. Leżała na najstarszym szlaku ze Śląska do Czech, który prowadził z kasztelanii wileńskiej do źródeł Łaby. Był to szlak zachodnich Karkonoszy, najstarszy wzmiankowany w średniowiecznych podaniach i zapiskach, tak zwana Czeska Ścieżka. Biegła ona od Wlenia przez Starą Kamienicę, Szklarską Porębę Dolną, Szklarską Porębę Średnią (małą osadę złożoną z siedmiu chat), do Karczmy Głodowej, pierwotnie pełniącej prawdopodobnie funkcję strażnicy (obecnie Muzeum Ziemi przy ul. Jeleniogórskiej), i dalej do Czech.

Wracając do Starej Wsi jako bazy poszukiwaczy skarbów, trzeba wspomnieć o dwóch ważnych miejscach. Pierwszym była Orla Skała z kaplicą, w której każdy Walończyk przed wyruszeniem do pracy odbywał siedmiodniowy post i uczestniczył w siedmiu mszach. Tutaj także były święcone wszystkie jego narzędzia, a po spowiedzi i komunii św. obiecywał uczciwy podział znalezionego dobra. Połowa szła na konto właściciela tych ziem Schaffgotscha. Drugą połowę musiał podzielić między kościół i siebie po połowie. Ze swojej ćwiartki był zobowiązany jeszcze część oddać na jałmużny oraz na utrzymanie sołectwa. Niewiele mu zostawało. Tych, którzy nie dotrzymywali obietnic, bardzo surowo karano. Raz w roku ferował wyroki wójt przyjeżdżający z Jeleniej Góry. Odbywało się to w Karczmie Sądowej, naprzeciwko starej lipy. Lipa istnieje nadal, nazywana jest „lipą sądową". Stanowi pomnik przyrody.

Niedaleko kaplicy na Orlej Skale znajduje się drugie ważne miejsce, zwane drogowskazem walońskim lub „głową cukru", dzisiaj znane jako Chybotek. Tam odbywały się ofiary pogańskie (także krwawe), gdyż walończycy uważali, że muszą sobie zaskarbić względy nie tylko mocy niebieskich, ale także ciemnych sił, według zasady – „tu świeczkę, tam ogarek". Oprócz rekwizytów namaszczanych olejami stosowali także zaklęcia. Każdy musiał mieć kadzidło do wykadzania złych mocy z potrójnego kręgu zaznaczonego kredą święconą. Na cztery strony świata rysowali gwiazdy magiczne i symbole czterech archaniołów. Odmawiali wiele modlitw. Nie wolno im było milczeć, „musieli stale mówić"; chodziło o to, aby nie mieli czasu na zbrodnicze, przestępcze myśli. Cały czas koncentrowali się na pracy, modlitwach i zaklęciach na przemian. Nie starczało czasu na zawiść.

Głównym „skarbem" Szklarskiej Poręby było szkło, a nie złoto, jednak złoto jest tu do tej pory. Najszersza żyła kwarcowa, jaka występuje w Europie, to jest ta, która biegnie z Izerskich Garbów koło Rozdroża Izerskiego na Kamieniecki Grzbiet. Ma ona kilka kilometrów długości. Eksploatuje się ją bez przerwy od najwcześniejszego średniowiecza. Wiadomo, że tam gdzie jest kwarc pochodzenia hydrotermalnego, w warunkach dużego ciśnienia i praca roztworów wodnych, tam następuje selekcja różnych związków chemicznych. Dlatego kwarce w Górach Izerskich są złotonośne, tylko nikomu nie opłaca się dzisiaj ich wydobywać. Są też szlachetne kamienie: kwarce – jak ametyst, kryształ górski i złocistobrunatny kwarc dymny; granaty – piryt i chalkopiryt, a także pirop – granat czerwony. Płukano tu również szafiry, szmaragdy, rubiny i cyrkony. Dzisiaj nadal istnieją, ale już małe okruchy, raczej jako ciekawostka.

Juliusz Naumowicz

Autor jest właścicielem firmy „JUNA" w Szklarskiej Porębie, od wielu lat zajmuje się obróbką kamieni ozdobnych i szlachetnych. (Tekst opublikowany w biuletynie „Pod Szrenicą", wydawanym przez Towarzystwo Rozwoju Kultury w Szklarskiej Porębie. Biuletyn już się nie ukazuje.)

Alfabet kamieni – galena

Nazwa pochodzi od łacińskiego słowa *galena,* oznaczającego rudę ołowiu. Minerał ten znano już w starożytności i – tak jak obecnie – wydobywano, aby pozyskać ołów. Galena (PbS) składa się niemal w 87 procentach z ołowiu. Zawiera przy tym często domieszki cynku, magnezu, żelaza, miedzi, a nawet srebra i złota. Była także wykorzystywana jako materiał rzeźbiarski. W kościele w Karczówce koło Kielc znajduje się statua świętej Barbary wykonana z jednej bryły tego minerału.

Galena ma barwę ołowianoszarą, czasem z odcieniem czerwonawym lub srebrzystym, twardość 2-3 w skali Mohsa, a gęstość 7,2-7,6 g/cm^2, połysk silnie metaliczny, przełom nierówny, doskonałą łupliwość. Jest przy tym bardzo krucha i nieprzezroczysta. Najczęściej występuje w postaci sześcianu, ośmiościanu lub ich kombinacji. Miewa także postać skupień ziarnistych, naciekowych lub szczotki. Współwystępują z nią m.in. sfaleryt, piryt, baryt, fluoryt, syderyt, dolomit, kwarc. Galenę łatwo rozpoznać; podczas topienia w płomieniu dmuchawki pozostawia żółty nalot tlenku ołowiawego. Rozpuszcza się też na gorąco w kwasie solnym z wydzielaniem siarkowodoru.

Galena jest typowym minerałem średniotemperaturowych złóż hydrotermalnych. Występuje w ich żyłach, a nadto w pegmatytach i jako wydzielenia w skałach wapiennych i osadowych. To stosunkowo pospolity minerał. Największe złoża znajdują się w dorzeczu Missouri i Missisipi (Ameryka Północna) – rejon Tri-State, Joplin. W Europie występuje w Austrii – Koryntia, Anglii – Cumberland, Niemczech – Góry Harzu i Rudawy. W Polsce galena występuje w dolomitach kruszconośnych w rejonie Olkusza, Siewierza, Trzebini i Tarnowskich Gór, w Górach Świętokrzyskich w okolicach Miedzianki, Kadzielni i Chęcin, w Pieninach koło Szczawnicy, w Tatrach na Ornaku, w okolicach Wieliczki i Myślenic.

Na Dolnym Śląsku galenę spotykamy w wielu miejscach: w Żarskiej Wsi koło Zgorzelca, w okolicach Leśnej, Przecznicy koło Świeradowa-Zdroju, Szklarskiej Poręby, w okolicach Jeleniej Góry, Kowar, w Kaczorowie i Radzimowie koło Wojcieszowa, Chełmcu koło Janowa, w okolicach Lublina i Polkowic, w Boguszowie i Wałbrzychu, Strzegomiu, Lubachowie koło Zagórza Śląskiego, Srebrnej Górze, Marcinkowie koło Stronia Śląskiego, Złotym Stoku.

Galena, choć może niezbyt efektownie wygląda, warta jest, by ją włączyć do kolekcji.

MD

Giełdy minerałów

- **21-22 sierpnia**
  Szklarska Poręba (giełda towarzyszy Mistrzostwom Polski w Płukaniu Złota)
- **4-5 września**
  Jelenia Góra, Miejski Ośrodek Kultury, ul. 1 Maja 60
- **11-12 września**
  Warszawa, gmach Politechniki Warszawskiej, pl. Politechniki 1

Krakowskie giełdy staroci

Krakowski Klub Kolekcjonerów od ponad dwudziestu lat organizuje na Rynku Głównym w Krakowie ogólnopolskie spotkania kolekcjonerskie, potocznie nazywane giełdami staroci. Cieszą się one dużą popularnością i ściągają wielu sprzedających oraz tłumy oglądających. Kolekcjonerzy myszkują w poszukiwaniu interesujących ich przedmiotów, a przypadkowi przechodnie zatrzymują się, by nacieszyć oczy i kupić coś „na pamiątkę". Porcelana, szkło, srebra, lampy, instrumenty muzyczne, małe formy meblarskie, znaczki, pocztówki, książki, obrazy, numizmaty, militaria, aparaty fotograficzne, zabawki i tak dalej... Na zdjęciach – giełda na Rynku Głównym, która trwała od 11 do 13 czerwca tego roku.
Najbliższe giełdy odbędą się w Krakowie 21 i 22 sierpnia oraz 10, 11, 12 września. Szczegółowe informacje można uzyskać w siedzibie KKK – 31-137 Kraków, ul. Siemiradzkiego 13/6, tel. (012) 34 15 86.

(mar)

Porcelana – to stały punkt programu
Fot. poniżej:
Błysnęło historią...

Wśród starych, pięknych przedmiotów nawet czas na chwilę przysiada

Oferowano przedwojenne książki
Fot. z lewej:
Wyrwane z kontekstu...

Na giełdach staroci można znaleźć wszystko

Zdjęcia
Maria Wiatrowska

A propos „krowich" monet

Uczestnicy wycieczki Siedleckiego Klubu Kolekcjonerów w Muzeum Weterynarii w Ciechanowcu 25 października 1998 r. Nad gablotą monet pochodzących z krowich żołądków pochylają się skarbnik klubu z żoną. Bogactwo oraz zróżnicowanie historyczne i geograficzne kolekcji jest związane z usytuowaniem Przemyśla na skrzyżowaniu szlaków handlowych i uczestnictwem w bojach o twierdzę żołnierzy armii kilku państw.

Tekst i zdjęcie
Sławomir Kordaczuk
(W nawiązaniu do notatki o kolekcji w numerze 4/99 „Odkrywcy")

Spotkajmy się w Rzeszowie

W drugą niedzielę każdego miesiąca spotykają się w Rzeszowie kolekcjonerzy. Giełda staroci odbywa się w budynku III Liceum Ogólnokształcącego. Pasjonaci i zbieracze prezentują swoje kolekcje: monety, ordery, odznaczenia, klamry do pasków i napierśniki, lampy naftowe, aparaty fotograficzne, radiowe i telefoniczne, porcelanowe serwisy, srebrne sztućce, lichtarze i zegary, także pistolety, menażki i różnego rodzaju militaria. Oferuje się też, ostatnio bardzo popularne, magnetyczne karty telefoniczne. Rzeszowska giełda należy do największych w Polsce południowo-wschodniej. Na każdej – około 300 osób wystawia swoje zbiory, a drugie tyle zainteresowanych jest kupnem co ciekawszych eksponatów.

JD

(Na podstawie artykułu Leszka Barana, Rzeszowski skarbiec staroci, „Super Nowości" – 24.07.1999 r.)

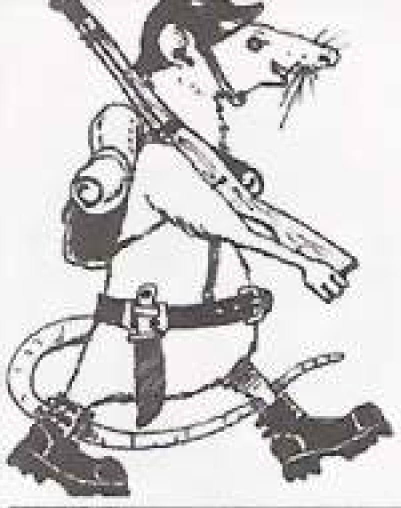

Niebezpieczne „skarby" (13)

Chociaż od wojny minęło ponad pół wieku, nasze ziemie wciąż kryją niewypały i niewybuchy. Można na nie trafić nie tylko szukając skarbów. Wiele osób nie umie tych wojennych „pamiątek" zidentyfikować i beztrosko wydobywa je z ziemi narażając się na śmiertelne niebezpieczeństwo. Będziemy więc systematycznie prezentować typy pocisków, granatów i bomb używanych w czasie pierwszej i drugiej wojny światowej, aby ułatwić ewentualnym znalazcom ich rozpoznanie. Przypominamy: przedmiotów, które tutaj przedstawiamy, nie wolno kolekcjonować, nie wolno ich w ogóle ruszać – to praca dla sapera.

GRANATY WŁOSKIE Z OKRESU II WOJNY ŚWIATOWEJ

Granat zaczepny BREDA Model 35 (Bomba a mano Breda Modello 35)
Wysokość – 95 mm; Średnica – 60 mm; waga – 200 g; waga materiału wybuchowego – 60 g; materiał wybuchowy – trotyl; zapalnik – uderzeniowy.

Ponieważ zapalnik uderzeniowy tego granatu dosyć często zawodził, zwłaszcza przy upadku granatu na miękkie podłoże, a także z powodu malowania skorup wszystkich włoskich granatów na kolor czerwony granaty te nazywano „Czerwony Diabeł".

Granat zaczepny OTO Model 35 (Bomba a mano OTO Modello 35)
Wysokość – 85 mm; średnica – 55 mm; waga – 200 g; waga materiału wybuchowego – 70 g; materiał wybuchowy – trotyl; zapalnik – uderzeniowy.

Granat zaczepny SRCM Model 35 (Bomba a mano SRCM Modello 35)
Wysokość – 80 mm; średnica – 55 mm; waga – 200 g; waga materiału wybuchowego – 43 g; materiał wybuchowy – trotyl; zapalnik – uderzeniowy.

Granat zaczepny trzonkowy BREDA Model 40 (Bomba a mano Breda Modello 40)
Wysokość – 205 mm; średnica – 60 mm; waga – 250 g; waga materiału wybuchowego – 60 g; materiał wybuchowy – trotyl; zapalnik – uderzeniowy.

Granat ten powstał poprzez zamontowanie drewnianego trzonka do granatu BREDA Model 35.

Granat przeciwpancerny BREDA Model 42 (Bomba a mano Breda Modello 42)
Wysokość – 290 mm; średnica – 115 mm; waga – 750 g; waga materiału wybuchowego – 660 g; materiał wybuchowy – trotyl; zapalnik – uderzeniowy.

Był to granat trzonkowy BREDA Model 40, do którego dokręcano głowicę zawierającą 600 g trotylu.

Grzegorz Franczyk

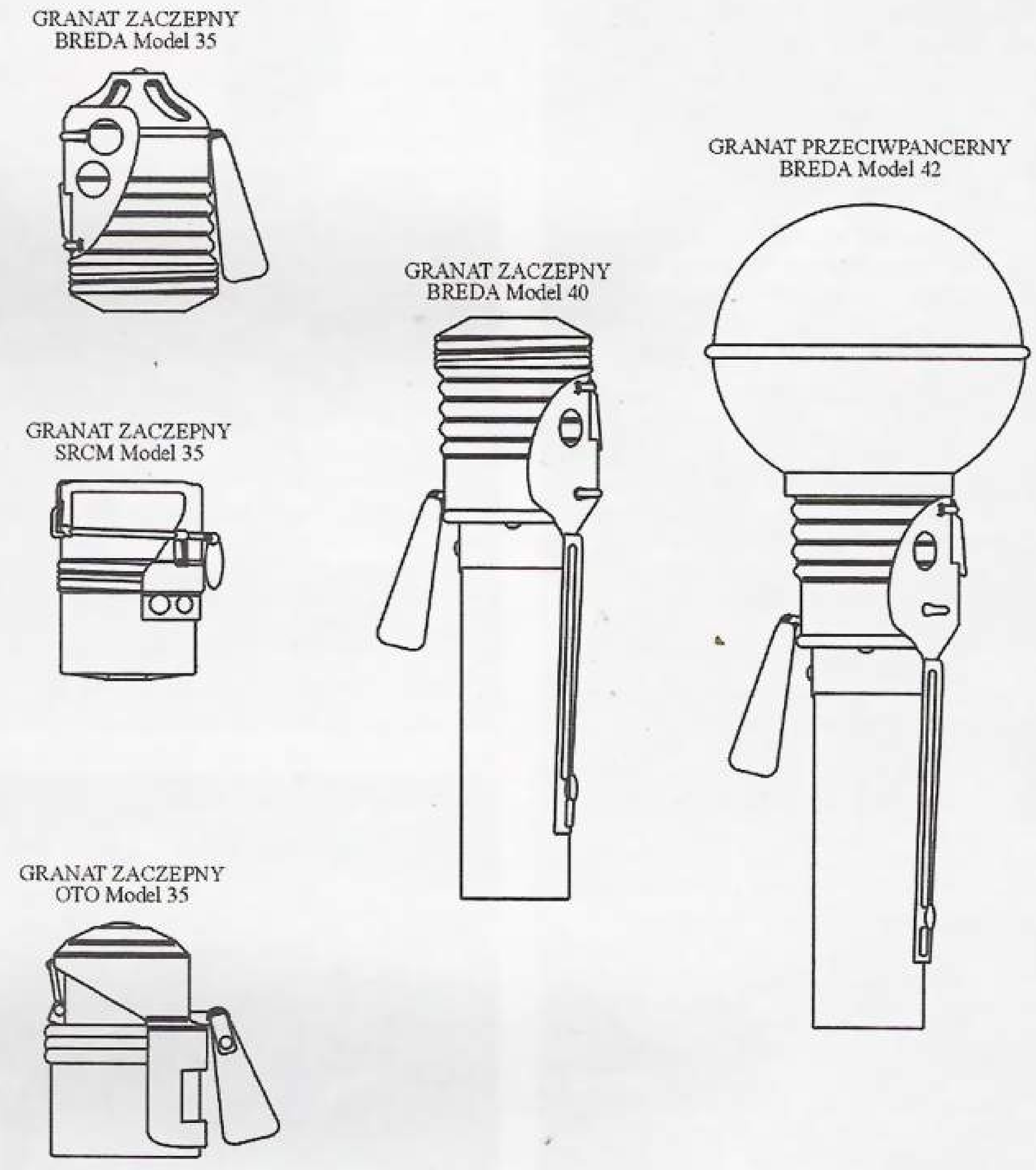

Sławomir Kordaczuk przedstawia

Polskie granaty ręczne „Z" wz. 26 W.C. wielokrotne z zapalnikami wz. Kr. 24/28. Granaty szkolne o wadze granatu zaczepnego. Drugi typ o wadze granatu obronnego miał w blaszanej skorupie żeliwne obciążenie i nosił nazwę granatu ręcznego „O" wz. 26 W.C. wielokrotnego.

WYKRYWACZE METALI

Ceny już od 300 zł

whites BOUNTY HUNTER FISHER

DYSTRYBUTOR FIRMA „VIKING"

Sklep „AZYMUT", ul. Corazziego 4 lok. 5, 00-087 Warszawa
(przy Placu Bankowym za Błękitnym Wieżowcem
tel./fax (0-22) 827-66-12

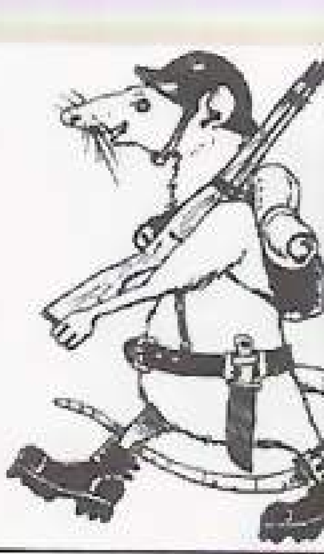

Opowieści sapera (I)

„Zardzewiała śmierć" to tytuł książki wydanej w 1973 r. Jej autor, podpułkownik Michał Sawczyc, po ukończeniu Oficerskiej Szkoły Wojsk Inżynieryjnych we Wrocławiu był dowódcą plutonu saperów, później dowódcą Grupy Rozminowania Województwa Warszawskiego, a w latach 1962–1965 – dowódcą Grupy Rozminowania Miasta Stołecznego Warszawy. „Zardzewiała śmierć" ma charakter pamiętnika i opowiada o codziennej pracy saperów; o setkach min, granatów, bomb i pocisków, ale również o odnalezionych magazynach Armii Krajowej, konspiracyjnych dokumentach czy poszukiwaniach legendarnego polskiego pistoletu maszynowego „MORS". Dzięki staraniom Magdaleny Pulińskiej i Roberta Stanity – eksploratorów z Warszawy – udało się odnaleźć podpułkownika Sawczyca, który zgodził się porozmawiać o latach służby.

– Panie pułkowniku, pracował Pan jako saper w latach, gdy militarne znaleziska były na porządku dziennym. Co oprócz niewybuchów i niewypałów znalazł Pan ciekawego?

– Ludzkie pojęcie przechodzi, do czego można wykorzystać na przykład pociski artyleryjskie. W Laskach koło Makowa Mazowieckiego znajdowała się figurka Matki Boskiej, którą ogrodzono pociskami. Miejscowi, zwłaszcza przed nabożeństwami majowymi, polerowali te pociski tak, że lśniły w słońcu. Kiedy przyjechałem do Lasek z saperami, myślałem, że sprawa będzie dziecinnie prosta, ale gdy zaczęliśmy rozbierać „płot", zbiegła się chyba cała wieś z widłami i kosami. Wyzwali nas od „antychrystów" i „lucyperów" i poszczuli psami. Dopiero interwencja księdza przemówiła im do rozumu. Innym razem w jednej z wsi powiatu przasnyskiego dzieci pokazały nam całą miedzę obsadzoną pociskami arytylerjskimi. Chłop w ten niecodzienny sposób zabezpieczył się przed sąsiadem, żeby tamten nie zaorał mu choćby kawałka gruntu. W Szelkowie zabraliśmy kowalowi pocisk, bo klepał kosy na kryzie łuski. Proszę sobie wyobrazić, że kowal zaskarżył mnie do sądu za „konfiskatę narzędzia pracy".

Aby wysadzić pociski, obkładano je kostkami trotylu
fot. z archiwum Michała Sawczyca

Jednak najciekawsza historia spotkała mnie w Tłuszczu. Pierwszy (i mam nadzieję ostatni) raz widziałem oborę wybudowaną z pocisków! Gospodarz nie mógł dostać przydziału cegieł, to wybudował własnym sumptem. Pomogłem mu załatwić normalne materiały budowlane, a niesamowitą oborę rozebraliśmy. Zresztą, w tej samej okolicy inny chłop miał zabudowania gospodarskie zmontowane z butelek od wódki. W słoneczne dni co jakiś czas we wsi wybuchały pożary i długo nikt się nie domyślał, że to denka butelek ogniskowały promienie słoneczne.

– Rzeczywiście, pomysłowość ludzka nie zna granic. Do najniebezpieczniejszych wynalazków należały miny-pułapki...

– Tak. Najzasobniejszy w taką zarazę był Sochaczew, a w Warszawie – dzielnica Żoliborz. Znaleźliśmy setki zapalniczek, które na pozór wyglądały zwyczajnie, ale wystarczyło którąś zapalić i następował wybuch. Były też podobnie działające długopisy i pióra wieczne. Wiele osób przez takie świństwa straciło palce u rąk albo oczy. Również niektóre groby niemieckich żołnierzy stanowiły śmiertelną pułapkę. Najczęściej zwłoki leżały na dużej minie, która połączona była linką z pasem wojskowym. Gdy ktoś próbował takie zwłoki ruszyć – ginął. Pamiętam też, jak znaleźliśmy kiedyś nieznany materiał wybuchowy, który do złudzenia przypominał kostki mydła. Jakieś kobiety próbowały nawet w tym prać ubranie. Do dzisiaj nie wiem, co to było, gdyż nikt się nie bawił w analizy, ale to było niezwykle mocne – przy wysadzaniu siła eksplozji zaskoczyła wszystkich.

– Co robiliście z wydobytą „zardzewiałą śmiercią"?

– Jeżeli były odpowiednie warunki i pozwalały na to lokalne władze, to wysadzaliśmy na miejscu. Militaria ze stolicy wywoziliśmy na jeden z podwarszawskich fortów i tam niszczyliśmy. Wbrew pozorom, przejazd przez Warszawę również trzydzieści kilka lat temu nie należał do najprostszych, a jeżdżenie z niebezpiecznym ładunkiem po ulicach, gdzie jest mnóstwo przechodniów, to żadna przyjemność.

– Czy zdarzały się tragiczne wypadki?

– Na szczęście – nie. Umiałem wychować żołnierzy – u mnie nikt nie pił alkoholu i przed każdą służbą podpisywał w specjalnym dzienniku oświadczenie, że jest sprawny, dobrze się czuje itp. Starałem się minimalizować ryzyko, na ile tylko mogłem i teraz jestem dumny, że żaden ze służących pod moimi rozkazami żołnierzy nie zginął ani nie został poważnie ranny. Jednak w pracy sapera wiele zależy od szczęścia, które nam, chwała bogu, dopisywało.

W miejscowości Cięciwa-Dembe, w ówczesnym powiecie Mińsk Mazowiecki, milicjanci wskazali nam trzy bomby lotnicze tkwiące w polnej drodze. Bomby częściowo wystawały z ziemi, miejsce było odludne, więc założyliśmy ładunki i podpaliliśmy lonty prochowe. Sami ukryliśmy się za drzewami, około czterystu metrów od niebezpiecznego miejsca. Kolejno po sobie następowały trzy detonacje i kiedy już mieliśmy wychodzić, zauważyłem, że pali się trawa. W chwilę później rozpętało się istne piekło – wybuchały bomby, o których nie wiedzieliśmy. To przypominało nawałę artyleryjską. Nawet nie wiem kiedy ścięło czubek drzewa, pod którym przycupnąłem. Istny cud, że nikt wtedy nie zginął, ale wystraszeni byli wszyscy.

Takie znaleziska były na porządku dziennym
fot. z archiwum Michała Sawczyca

– Udało się Panu nawiązać współpracę z Muzeum Wojska Polskiego, do którego oddawał Pan niektóre znalezione militaria. Jakie znaleziska zasiliły muzealne zbiory?

– Między innymi dokumenty i sztandar batalionu Armii Krajowej „Chrobry II", kilka konspiracyjnych arsenałów i polskie działko Boforsa. Z Wisły wydobyliśmy radziecką amfibię, która zdobyła przyczółki warszawskie, ale najbardziej pasjonujące były poszukiwania polskiego pistoletu maszynowego „Mors"...

Rozmawiał
Radosław Biczak

W kolejnym numerze „Odkrywcy" przeczytacie o znaleziskach, które dzięki podpułkownikowi Sawczycowi zostały ocalone i znalazły swoje miejsce w muzeum.

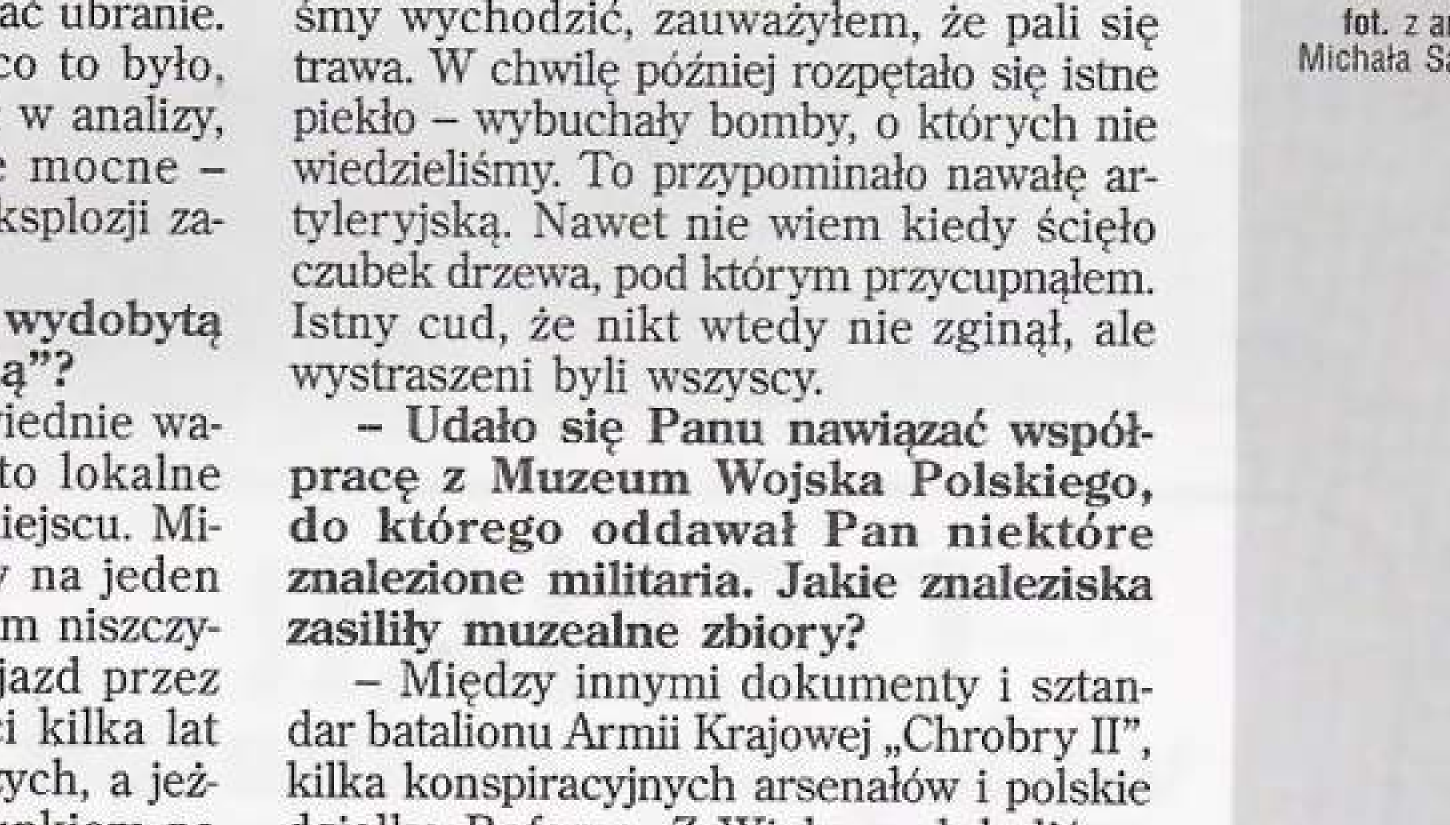

„Zardzewiałą śmierć" niszczono na terenie podwarszawskiego fortu
fot. z archiwum Michała Sawczyca

Militarny zlot

IV Zlot Historycznych Pojazdów Wojskowych, który odbył się w dniach 25-28 czerwca w Darłówku, miał być imprezą towarzyszącą Centralnym Obchodom Dni Morza, ale tak naprawdę sam w sobie był wspaniałym spektaklem, na który zjechali właściciele i miłośnicy pojazdów militarnych z kraju i zagranicy. Organizatorzy imprezy, znani w środowisku kolekcjonerzy – Marian Laskowski oraz bracia Kęszyccy, spisali się na medal. Przygotowali teren, zaprosili całą rzeszę kolekcjonerów, zadbali o odpowiednią oprawę, ale również o sprawy tak przyziemne jak bufety, pole namiotowe, ubikacje i prysznice w samochodowej łaźni wojskowej.

Największą popularnością cieszyły się próby terenowe na czołgowisku. Niemal każdy mógł się przejechać na pancerzu czołgu – w tym również słynnego „Leoparda", w wojskowym samochodzie terenowym czy w bojowym wozie piechoty. Zresztą, poczciwy BWP cieszył się ogromną popularnością, gdyż kierowca nie żałował silników, a cóż może sprawić większą frajdę od szaleńczej jazdy po wybojach? Chyba tylko lot śmigłowcem, a przybyły z Niemiec, wart około półtora miliona marek „Bell" 206 B latał nad Darłówkiem prawie bez przerwy. Gościnny pilot, który zabierał na pokład oczekujących w długiej kolejce chętnych, nie krył radości: „W Niemczech musiałbym załatwić mnóstwo formalności, w tym również każdorazowo pozwolenie na start, a tutaj dostałem raz i mogę szaleć do woli". Wprawdzie było to szaleństwo kontrolowane, ale niejeden z uczestników lotu łyknął haust strachu. Najlepiej obrazują to słowa gościa, który po wyjściu ze śmigłowca powtarzał: „Jak w Wietnamie, mówię ci, stary, lecieliśmy metr nad plażą – zupełnie jak w Wietnamie". Na złaknionych podniebnych wrażeń czekała też motolotnia.

Malowniczo wyglądał desant z morza. Dwa pojazdy: czołg PT 76 i ośmiokołowiec PTR 60 wspomagane z powietrza przez śmigłowiec zdobyły darłowską plażę, która wprawdzie nie przypominała tej z Normandii, ale przecież liczył się klimat. I nikt nie narzekał, gdy pomagał wyciągać pojazdy zakopane w piachu.

Całości towarzyszyła giełda militariów, wymiana doświadczeń i wspaniała atmosfera – kto nie był, niech żałuje.

Warto wspomnieć o pomocy policji, wojska i straży granicznej. Organizatorom wypada pogratulować sukcesu i życzyć, aby każde z ich przedsięwzięć wyglądało tak jak IV Zlot Historycznych Pojazdów Wojskowych.

Tekst i zdjęcia
Radosław Biczak

Gwóźdź programu – czołg „Leopard" A4

Desant z morza – czołg PT 76
Fot. obok: „Bell" 206 B latał niekiedy naprawdę nisko...

IV Zlot Historycznych Pojazdów Wojskowych cieszył się bardzo dużą popularnością
Fot. poniżej: Próba terenowa na czołgowisku

DENAR
wykrywacze metali

whites VIKING MINELAB Tesoro
PULSE STAR II

SPRZEDAŻ • KUPNO • ZAMIANA
WYPOŻYCZANIE • DORADZTWO

Prowadzimy sprzedaż ratalną
Wystawiamy faktury VAT

ul. Lipowa 6A/17
81–572 GDYNIA
tel. /fax (058) 781 08 89
tel. kom. 0602 224 228

Z czechosłowackiej Linii Maginota

Wszystkim miłośnikom fortyfikacji będącym w Kotlinie Kłodzkiej i posiadającym paszporty proponuję nie lada gratkę: zwiedzenie odrestaurowanego czechosłowackiego ciężkiego schronu bojowego. Pas przygranicznych bunkrów nie bez kozery nosi miano czechosłowackiej Linii Maginota, gdyż był wzorowany właśnie na niej.

Wobec rosnącego zagrożenia ze strony wojsk hitlerowskich, po fiasku rozmów w Genewie w 1932 r., rząd czechosłowacki zdecydował się na ufortyfikowanie granicy z Niemcami. Ponieważ brak było własnych doświadczeń w tej dziedzinie, skierowano uwagę na gigantyczne umocnienia Linii Maginota. Budziły podziw i grozę, były najnowocześniejsze i – jak głosiła propaganda – nie do zdobycia. Dlatego przy wypracowywaniu własnej koncepcji szkoły fortyfikacyjnej skorzystano właśnie z konsultacji, szkoleń i nadzoru oficerów francuskich. Obronę oparto na zbudowaniu samodzielnych obiektów – tzw. tradytorów międzypola, wzmocnionych lekkimi schronami bojowymi. Do ryglowania terenów szczególnie newralgicznych powstawały grupy warowne z artylerią forteczną. Niestety, na mocy ustaleń traktatu monachijskiego fortyfikacje, będące w różnym stadium budowy, musiano opuścić bez walki. Po wkroczeniu wojsk niemieckich zaczął się proces niszczenia obiektów. Potraktowano je jako poligon do ataków piechoty i strzelań artyleryjskich. Wymontowano wyposażenie i elementy pancerzy fortecznych.

Podobny los spotkał samodzielny tradytor międzypola N-S 82 „Brzezinka". Niemcy odstrzelili jego prawą kopułę pancerną. Po wojnie opuszczony, bez należytej opieki, systematycznie niszczał i zamieniał się w ruinę. (Skąd my to znamy?) Służył za punkt widokowy przy szlaku turystycznym, gdyż ze wzgórza, na którym stoi, rozciąga się piękna panorama doliny rzeki Metui i pobliskiego miasta Nachod. Stan taki trwał do roku 1989, kiedy to grupka zapaleńców z Klubu Vojeńskich Historii w Nachodzie postanowiła obiekt odnowić. (Tego już, niestety, nie znamy z własnych doświadczeń!) Wykonano poważne prace murarsko-betoniarskie, przywracając bryle budowli pierwotny kształt. Zrekonstruowano system zapór i zasieków wokół, tradytor pomalowano w łaciaty kamuflaż. Urządzono pomieszczenia, wyposażając je w wiele oryginalnych eksponatów. Przy okazji, obok muzeum, klub zyskał siedzibę.

N-S 82 „Brzezinka" to obiekt dwupoziomowy, z dwiema izbami bojowymi na ciężkie karabiny maszynowe i parą kopuł pancernych w stropie. Wchodząc do niego trzeba pokonać kratę forteczną i dwie pary pancernych drzwi. Od tej chwili jesteśmy w muzeum, lecz nie ma tu pań o imieniu „nie dotykać eksponatów!". Tradytorem opiekują się członkowie klubu, a oni pozwalają używać rąk do oglądania. (Ręce przydają się też do rozmowy z Czechami.) W urządzonej prawej kazamacie – izbie bojowej ustawiono na lawetach za strzelnicami dwa ciężkie karabiny maszynowe wzór 37 i lekki karabin wz. 36 do obrony sektora wejścia. Nad ciężkimi karabinami zamontowano mapy terenu tak, że przesunięcie lawety powoduje ruch strzałki po mapie. Ułatwiało to prowadzenie celnego ognia przy złej widoczności. Oczywiście można stanąć „do broni" i „złożyć się do strzału". Nie zapomnijmy tylko załadować taśm amunicyjnych nabojami przy pomocy przedwojennej maszynki. W ścianie sąsiedniego pomieszczenia tkwi za płytą pancerną kolejny karabin wz. 36. Obok wmontowano w ścianę peryskop do obserwacji rowu diamentowego przed strzelnicami kazamaty (bardzo dobra widoczność) oraz zrzutnię granatów do rowu.

W szybie dzwonu pancernego wszystko jest na swoim miejscu: podest, laweta, drabinka. Ciekawostka to wentylator do przewietrzania wnętrza – pochodzi z umocnień Linii Maginota, a czeski klub otrzymał go dzięki współpracy z tamtejszym Kołem Miłośników Militariów.

Na dolnej kondygnacji, w sypialni żołnierskiej, urządzono salkę wystawienniczą: fotografie obiektów, eksponaty z nich odzyskane, mapy umocnień. Na półce stoją kostki betonu – próbki do badań wytrzymałościowych. Odlewano je z każdorazowego betonowania elementów konstrukcji bunkrów. Po dwudziestu ośmiu dniach schnięcia musiały uzyskać wytrzymałość powyżej 300 kg/cm^3, co było skrupulatnie kontrolowane przez wojsko. Na ścianie – kilka zdjęć z odbudowy „Brzezinki". Upaprani cementem po łokcie, ale uśmiechnięci klubowicze. Stara skoda ciągnie przyczepkę z ogromnym baniakiem (może stary zbiornik hydrofora?). To atrapa brakującej kopuły pancernej; po zamontowaniu – nie do odróżnienia od oryginału. Małe drzwi prowadzą do składziku prowiantu dla załogi, lecz tu odstępstwo od zasady – nie ma eksponatów. Stoi za to kilka skrzynek czeskiego piwa. Świeżego. Oprowadzający mówi mi gestami, że to wymagana żelazna porcja prowiantu.

Tradytor posiada własną studnię z pompą i zbiorniki na wodę umieszczone przy schodach. Prąd elektryczny wytwarzał dieslowski agregat umieszczony obok, dalej znajduje się izba wentylatorów. Oczywiście – wszystko „na chodzie". Na półce leżą ampułki z chemikaliami neutralizującymi gazy bojowe. Wkładało się je w oznaczone miejsca w ciągu rur filtrowentylacyjnych. W środku bunkra wytwarzano małe nadciśnienie, tak żeby nadmiar czystego, przefiltrowanego powietrza uciekał na zewnątrz przez nieszczelności, nie pozwalając wlecieć powietrzu z otoczenia, być może skażonemu.

W sypialni podoficerów czas się zatrzymał; łóżka zasłane kocami, na wieszaku żołnierskie płaszcze. Na stoliku maszynka do odgrzewania konserw i rozdane karty. Nie sprawdziłem tylko, w co grano i ile było w puli. Stropy i ściany narażone obiektu wyłożone były blachą chroniącą załogę przed odpryskami betonu po trafieniu pociskiem.

Na koniec, po uiszczeniu opłaty za zwiedzanie („co łaska"), otrzymałem mały folderek. I tu miła niespodzianka: takich miniskansenów militarnych jest tutaj więcej. Można obejrzeć także całe grupy warowne z podziemną komunikacją. Na mapie zaznaczone są też atrakcje po polskiej stronie: twierdze Srebrna Góra i Kłodzko oraz sztolnie Gór Sowich. Trochę wstyd, że u nas się nie mówi o czechosłowackiej Linii Maginota. Zwiedzenie opisywanego tradytora przyda się z punktu widzenia polskich fortyfikacji. Przy odrobinie wyobraźni staną się ciekawsze nasze schrony bojowe – puste, zdemolowane i rozkradzione, w których hula wiatr (czytaj – stoi nieczyste powietrze). Oj, drażliwy to temat: tutaj wszystko jak sześćdziesiąt lat temu, a u nas zapomniany Obszar Warowny Śląsk, Rejon Umocniony Hel, nie wspominając o różnych frontach ufortyfikowanych otrzymanych w spadku. W Węgierskiej Górce, w Beskidach, fort „Waligóra" zamknięty i zapomniany, podobnie jak sąsiedni „Wąwóz". A ściany obiektu „Wąwóz" krzyczą historią: poorane pociskami, setkami trafień, pokruszone ładunkami, które bezkarnie podkładali niemieccy saperzy, ponieważ nie zdążono zamontować kopuł do obrony okrężnej. Nasi chłopcy stawiali w nich tak zaciekły opór... Ale to już inna wycieczka, chyba trochę sentymentalna...

Samodzielny tradytor międzypola N-S 82 „Brzezinka" w pobliżu czeskiego miasta Nachod

Naturalnie kończę puentą oczywistą: niech przykład ratowania zabytków sztuki militarnej przez czeskich kolegów podziała na nas... itd. Dokończcie sobie sami. Pamiętajmy tylko, że Polak wciąż jeszcze potrafi, a różne ciekawe eksponaty znalazłyby się, gdyby tak zajrzeć do niektórych komórek, piwnic, składzików czy szuflad...

* * *

Informacje turystyczne

Do „Brzezinki" z przejścia granicznego Kudowa-Zdrój jest około pół godziny spacerem. Z głównej szosy prowadzącej od granicy skręcamy w lewo, w kierunku miejscowości Lazni Beloves (kierunkowskaz). W niej zaczyna się dobrze oznaczony szlak zielony, który doprowadzi do tradytora. Idąc nim dalej można dojść do Grupy Warownej Dobrosov.

Muzeum czynne w soboty od 10.00 do 19.00

Tekst i zdjęcia
Przemysław Wrzosek

Miałem sn

ROZMOWA Z ANDRZEJEM TYLIŃSKIM – MOTOLOTNIARZEM

Andrzej Tyliński z wykształcenia jest mechanikiem okrętowym. Prowadzi własną firmę (nie związaną z zawodem). Od czterech lat należy do sekcji motolotniowej Aeroklubu Gdańskiego w Pruszczu Gdańskim. 29 czerwca 1998 roku przeleciał motolotnią przez Bałtyk – do Szwecji.

– Cztery lata w motolotniarstwie – to długo?

– Nie, mam bardzo krótki staż. Do tej pory wziąłem udział w rajdzie dookoła Polski – tysiąc dwieście kilometrów – i w wyprawie przez Bałtyk. To był mój najdłuższy lot – trwał sześć godzin, z czego cztery i pół godziny nad wodą. Poprzedziły go mniej więcej roczne przygotowania. Musieliśmy uzyskać całe mnóstwo zgód, zdobyć sprzęt ratowniczy, wyszkolić się w ratownictwie okrętowym. Części sprzętu użyczył nam komandor Smolarek, część dostaliśmy z czterdziestego dziewiątego pułku śmigłowców wojskowych.

Odbywaliśmy praktyczne, standardowe ćwiczenia z zakresu polskiego ratownictwa okrętowego – skok na tratwę, korzystanie z pętli i tak dalej. Natomiast teoretycznie staraliśmy się przygotować do sytuacji, gdyby któryś z nas wpadł podczas przelotu do wody – żeby nie zaplątać się w linki, nie dać się wciągnąć... Właściwie nie było przedtem takich doświadczeń. Owszem, zdarzyły się dwa wypadki wodowania motolotnią, ale obydwa zakończyły się śmiertelnie. Dlatego szukaliśmy teoretycznych rozwiązań.

– I przydały się w praktyce...

– Tak. Mieliśmy startować podczas Air Show w Babich Dołach, ale była taka wichura, że nawet myśliwce nie latały. Wystartowaliśmy dopiero następnego dnia, dwudziestego dziewiątego czerwca o dziewiątej rano: Czesław Lakarewicz, Marek Rudowski, Ryszard Groth i ja. Nadal panowały bardzo niekorzystne warunki, ale nie chcieliśmy dłużej zwlekać. Umówiliśmy się, że do połowy Bałtyku będziemy sprawdzać stan paliwa; jeżeli okaże się, że przekroczyliśmy założoną ilość, to robimy w tył zwrot i z wiatrem bez problemu dolecimy z powrotem. Osiągnęliśmy punkt docelowy dokładnie dwie minuty przed czasem, więc zdecydowaliśmy, że lecimy dalej. Mieliśmy łączność radiową. No i właśnie na tym drugim etapie Czesław, niestety, musiał wodować z powodu awarii maszyny. Zachował się bardzo przytomnie, zrobił wszystko dokładnie tak, jak ustaliliśmy podczas przygotowań. Szwedzi sprawnie przeprowadzili akcję ratowniczą. Powiedzieli, że film z tej akcji to będzie ich film poglądowy. Rzeczywiście... Czesław pięć minut szybował do powierzchni wody, wpadł, zdążył rozłożyć ponton i po czterech minutach przyleciał już śmigłowiec.

– Sądząc po tym, co zobaczyłam na filmie, byłeś bardzo przejęty wypadkiem, mocno przestraszony...

– No tak, bo jest się na pięciuset, sześciuset metrach i na dole praktycznie nic nie widać, człowiek jest taki malutki... Czesio natychmiast zniknął, zginął mi z oczu, nie wiedziałem, co z nim. I ten okres niepewności, zanim okazało się, że wszystko w porządku... To byłoby straszne, gdyby doszło do tragedii.

– W co byliście ubrani podczas wyprawy?

– Mieliśmy pożyczone z Marynarki Wojennej specjalne kombinezony termiczne Hali-Hansena. Tylko że ja się dosyć nieszczęśliwie ubrałem, bo oprócz bielizny niczego pod spód nie założyłem. Sądziłem, że skoro kombinezon nie przepuszcza powietrza, to powinno być w nim ciepło. Temperatura w górze wynosiła dwanaście stopni. Zmarzłem tak, że ledwo po tych sześciu godzinach wysiadłem. A należało założyć polar.

Andrzej Tyliński: – *Teraz częściej jestem myślą w powietrzu niż na ziemi...*
fot. z archiwum ODKRYWCY

– W każdym razie wiesz, jakiego błędu nie popełnisz lecąc na Spitsbergen. Jak zrodził się pomysł tej wyprawy?

– Kiedy po przelocie nad Bałtykiem wylądowaliśmy w Szwecji, przez ten wypadek Czesława od razu zrobił się wielki szum – przyjechali fotoreporterzy, dziennikarze, chyba trzy agencje telewizyjne... Spotkaliśmy się z tak ciepłym przyjęciem, że pierwszy raz od jakiegoś tam czasu w Szwecji pisano o Polakach pozytywnie, a nie w kronikach kryminalnych. Pani konsul, która przyjechała na lotnisko powitać nas, podsunęła pomysł, żeby wykorzystać to dobre przyjęcie. Tak powstała myśl, by przelecieć przez całą Szwecję. A skoro przez Szwecję, to i przez Norwegię, a w takim razie trzeba dolecieć do Przylądka Północnego. Później poznaliśmy Krzysia Makowskiego, który ma wspaniałe kontakty na Spitsbergenie i on powiedział: „Chłopaki, lećcie dalej!" Spróbujemy. Chcę podkeślić, że to będzie PRÓBA dolotu na Spitsbergen.

– Ile kilometrów musicie pokonać?

– Cała trasa liczy trzy i pół tysiąca kilometrów. Gdyby lecieć bez przerwy, zajęłoby to około czterdziestu godzin. To zbyt długi dystans. Nie starczyłoby paliwa – najlepsza motolotnia po przerobieniu pozwala na trzydzieści godzin lotu bez uzupełniania zbiornika, a my jeszcze nie dysponujemy takim sprzętem. Poza tym nie dałoby się dokładnie ocenić pogody na tak długiej trasie. Podzielimy ją na odcinki trzystu-, czterystukilometrowe. Chcemy wystartować w połowie lipca.* W ciągu miesiąca powinniśmy zakończyć wyprawę.

Ale nie będziemy wracać motolotniami, to byłby zbyt duży wysiłek. Sterowanie odbywa się na zasadzie przemieszczania środka ciężkości, jakim jest wózek razem z pilotem i silnikiem. I trzeba to robić ręcznie.

– Co planujesz po Spitsbergenie?

– Myślimy z kolegami o tym, żeby przelecieć przez Atlantyk, z Maroka do Brazylii. Lot trwałby dwadzieścia osiem godzin. W przyszłym roku chcemy sprawdzić, czy uda nam się spędzić tyle czasu w powietrzu bez przerwy, a więc bez spania, bez jedzenia i tak dalej. (W motolotni nie można odrywać rąk od sterownicy.) Spróbujemy przelecieć z Gdańska do Zatoki Botnickiej i z powrotem. Trasę wyznaczymy sobie w pobliżu granic Szwecji, żeby w razie czego można było skorzystać z jakiegoś lotniska.

– Ćwiczenie przed właściwym lotem?

– Myślę, że to będzie taka naturalna selekcja grupy – kto da radę. Wśród dwudziestu członków sekcji motolotniowej Aeroklubu Gdańskiego mających własny sprzęt, jest siedmiu, ośmiu „wytrwałych", latających.

Przelot nad Atlantykiem będzie kamieniem milowym w motolotniarstwie, zwróci uwagę na ten sport, który na razie jest bardzo mało znany i traktowany niepoważnie.

– Orientujesz się, ile osób w Polsce uprawia motolotniarstwo?

– Czynnie – pięćset osób. Odbywają się mistrzostwa Polski, mistrzostwa świata. Jest latanie na czas, na litr paliwa, na długotrwałość lotu, lądowanie na celność i tak dalej, ale ja nie wiem, jakie są rekordy. I widzę, że to współzawodnictwo staje się czasami niebezpieczne. Nas – mówię

...o lataniu...

o gdańskiej grupie – nigdy nie interesowało ściganie się na punkty, natomiast pociąga nas organizowanie jakichś dalszych przelotów.

– Ile kosztuje motolotnia?

– Można kupić używany sprzęt, w miarę bezpieczny, od piętnastu tysięcy złotych. Średniej klasy kosztuje trzydzieści pięć do pięćdziesięciu tysięcy, a już taki mercedes wśród motolotni, francuskiej firmy Clipair, dochodzi do stu pięćdziesięciu tysięcy. O cenie decyduje wykonanie płata, silnik, rozpiętość prędkości, łatwość prowadzenia, wyposażenie...

Ja sam kompletowałem sobie sprzęt, trzy lata temu. Kosztował jedenaście tysięcy złotych. Skrzydło kupiłem od jednego producenta, wózek od innego, silnik – z Niemiec. Silniki do motolotni muszą być specjalnie produkowane – ze zdwojonym zapłonem, zdwojonym gaźnikiem... W Polsce nikt takich nie robi. Owszem, adaptuje się silniki volkswagena, ale one są za ciężkie. Kolega właśnie na takim sprzęcie spadł.

– Czy motolotniarstwo to sport bardziej niebezpieczny niż inne?

– Każdy sport motorowy jest bardziej niebezpieczny niż inne. Wiadomo – duża prędkość, a do tego dochodzi jeszcze wysokość.

– Do jakiego pułapu się wzbiłeś?

– Trzy i pół tysiąca metrów. Koledzy z Radomia wywindowali się na pięć i pół tysiąca.

– Jakie trzeba mieć predyspozycje fizyczne i psychiczne, żeby latać na motolotni?

– Nie wiem... Odpowiem tak: są sytuacje, w których człowiek nie ma wyjścia i musi dać z siebie wszystko. Nie można z motolotni wysiąść albo wylądować gdzieś na lesie, nie można powiedzieć – rzucam zabawki, to mi się nie podoba. Trzeba po prostu wytrwać do końca.

– Są wśród motolotniarzy kobiety?

– W Polsce – trzy, w tym jedna u nas, w Gdańsku.

– Druzgocąca dysproporcja. Z czego to wynika?

– Myślę, że kobieta jest inaczej nastawiona do wyczynów, bardziej zachowawcza. Inne cele stoją przed kobietą... To taki długi i trudny temat.

– Jakie są kryteria przyjmowania na kurs motolotniarski?

– Myślę, że pierwszym kryterium jest to, czy ktoś w ogóle chce latać, czy się nie boi, czy go to wciąga. Wystarczy jeden lot z instruktorem, żeby odpowiedzieć sobie na te pytania. Drugie kryterium to stan zdrowia. Ale nie są konieczne specjalistyczne badania w Głównym Ośrodku Badań Lotniczych we Wrocławiu, wystarczy badanie w przychodni sportowej. No i trzeba mieć skończone szesnaście lat.

– Jak to się stało, że zostałeś motolotniarzem?

– Przypadkowo. Przejeżdżałem cztery lata temu przez jedno z gdańskich osiedli i zobaczyłem człowieka, który za pieniądze woził pasażerów motolotnią. Wsiadłem. Pierwszy lot, drugi, piąty, szósty... I już nie chciałem wysiąść. Zapytałem, gdzie można zdobyć uprawnienia. Skierował mnie do Nowego Sącza. Pojechałem nie mając pojęcia, że tuż obok jest aeroklub i organizuje szkolenia. Zgłosiłem się do nich już z gotowymi uprawnieniami. Kurs podstawowy trwa tydzień, dwa tygodnie, w zależności od pogody. Trzeba spędzić co najmniej siedem godzin w powietrzu z instruktorem, do tego dochodzi szkolenie teoretyczne. Ukończenie takiego kursu uprawnia do lotów w okolicy lotniska. Teraz to jest chyba pięćdziesiąt godzin. Po wylataniu tego limitu można zdać egzamin na wyższy stopień i odbywać już samodzielne loty w teren wyznaczanymi przez siebie trasami. Ja uzyskałem trzeci stopień, najwyższy, który upoważnia praktycznie do wszelkich lotów. Nie zrobiłem tylko uprawnień instruktorskich.

– Miałeś kiedyś sny o lataniu?

– Bardzo często! Śniło mi się, że jestem wróblem i potrafię z dachu fruwać...

– Co czułeś, kiedy pierwszy raz leciałeś sam motolotnią?

– Bałem się. Ale to było takie uczucie... „Ach, muszę to pokonać, muszę to pokonać!" Jak się wystartuje, to już nie ma wyjścia. Pokonałem.

– Było w tym coś z Twoich „wróblich" snów?

– Tak... To jest inny wymiar postrzegania świata, inna perspektywa. I odległości są zupełnie inne. Zacząłem dostrzegać to, co kiedyś było zupełnie naturalne: powietrze. I teraz częściej jestem myślą w powietrzu niż na ziemi. Lot można porównać do wejścia na górę; kiedy jest się na szczycie i patrzy się na te małe wioseczki i problemy, które tam gdzieś na dole zostały, to one przestają mieć znaczenie. Czuje się większy kontakt z przyrodą.

– Lecąc motolotnią – można się zderzyć z ptakiem?

– Mamy za małe prędkości... Ale ciekawa rzecz; wszystkie ptaki niedrapieżne uciekają od motolotni natychmiast, przez ten hałas. Natomiast drapieżne – w ogóle się nie boją. Kiedyś doganiałem jastrzębia. Leciał może pięć metrów pode mną i nie zboczył ani na centymetr ze swojej trasy. Gdy byłem już mniej więcej dziesięć metrów od niego, odwrócił łeb, wywalił się na plecy, pokazał pazury i tak odpadł pięknie... Do ostatniej chwili nie odpuścił. Ptaki drapieżne się nie boją. To jest ich przestrzeń.

– A Tobie nie przeszkadza hałas silnika motolotni?

– To jest moja najlepsza muzyka...

Rozmawiała
Maria Wiatrowska

Spełnione sny o lataniu...
fot. Radosław Biczak

* Rozmowa została przeprowadzona w połowie maja br. 17 lipca Andrzej Tyliński i Ryszard Groth rozpoczęli pierwszą w historii motolotniową wyprawę na Spitsbergen. Od Kalmaru towarzyszył im Arkadiusz Pawełek. Osiągnęli Przylądek Północny. W nocy z 22 na 23 lipca nastąpiło gwałtowne załamanie pogody. Wiatr, który dochodził do trzydziestu metrów na sekundę, zniszczył zamocowane na lotnisku motolotnie. W związku z tym uczestnicy wyprawy zdecydowali się wrócić do kraju. „Cóż – widocznie tak miało być..." – powiedział Andrzej Tyliński, z którym skontaktowaliśmy się zaraz po jego powrocie do Polski.

„Co się odwlecze, to nie uciecze" – mówi przysłowie. Są tacy, co twierdzą, że „co się odwlecze, to się podwoi". Trzymamy kciuki za powodzenie następnych planów gdańskich motolotniarzy.

Drukujemy przedwojenne mapy

Zostały jeszcze dwa arkusze przedwojennej mapy Gór Wałbrzyskich i Sowich, którą drukujemy w oryginalnej skali. Ciekawi jesteśmy Państwa opinii o samym pomyśle oraz propozycji dotyczących wyboru następnych map.

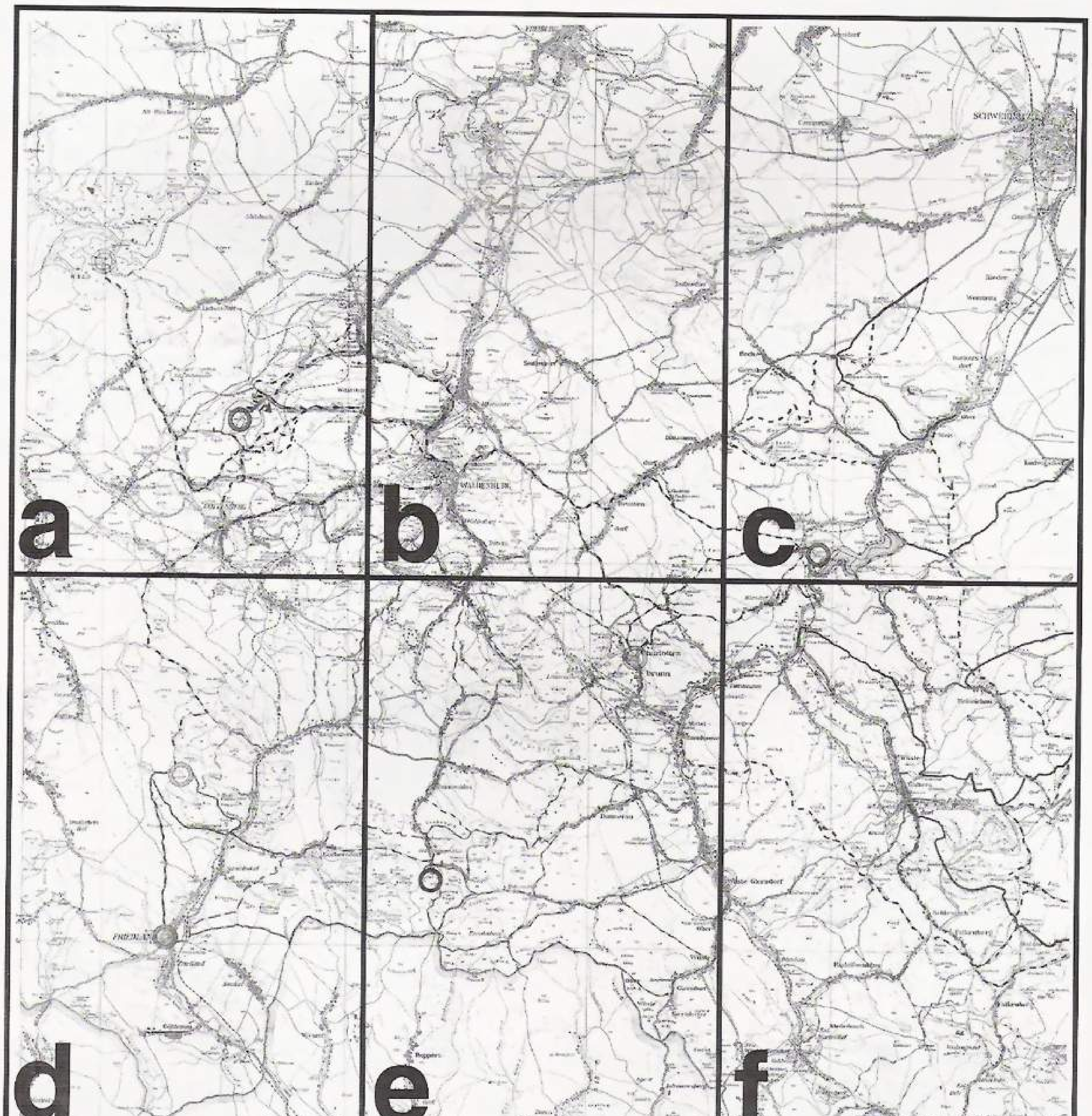

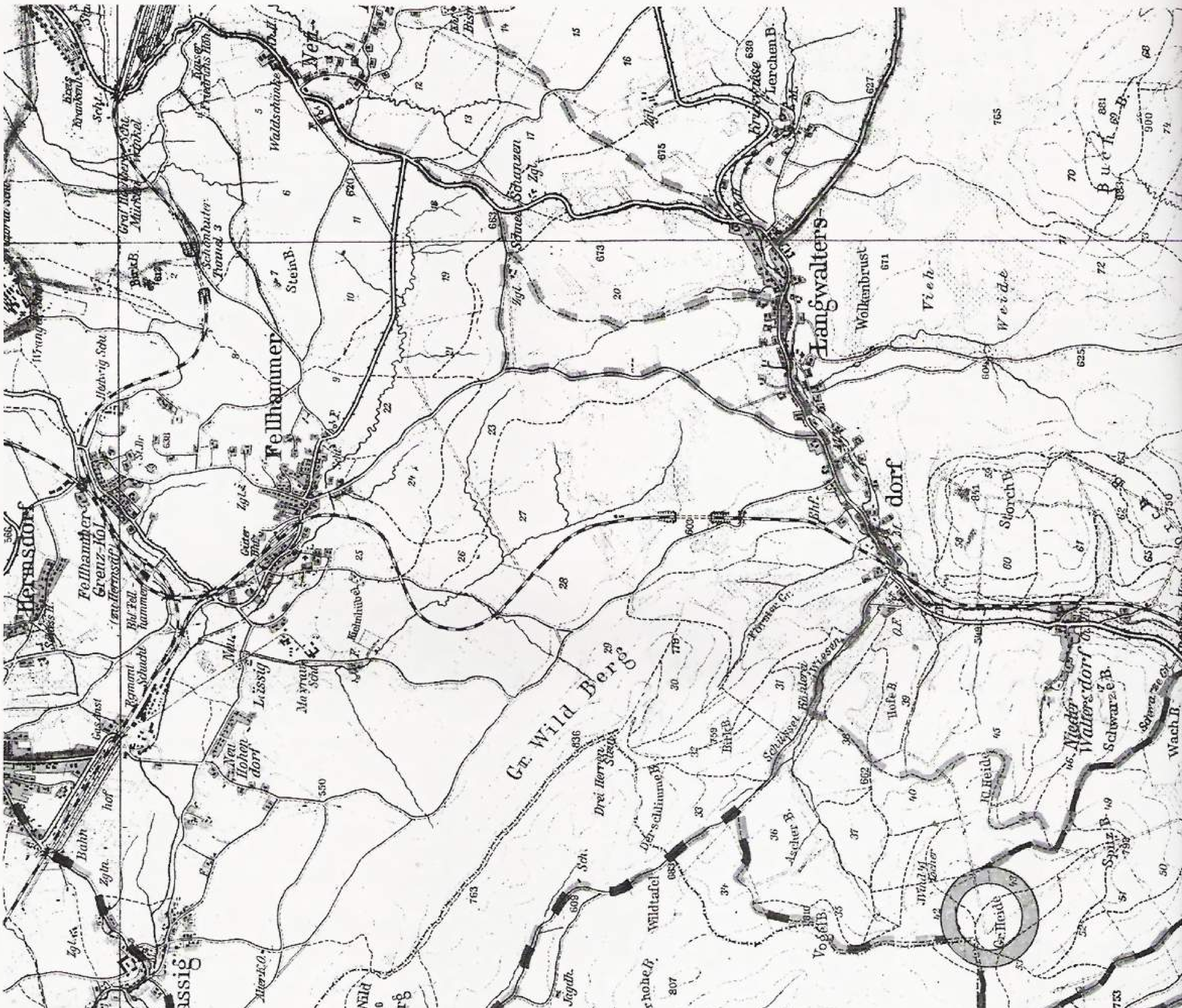

Langwaltersdorf
Fellhammer
Gr. Wild Berg
Kl. Wild Berg
Lässig
Alt-Lässig
Hermsdorf
Vogelgesang
Wiesen Lehne
Ober-Conradswaldau
Mittel-Conradswaldau
Nieder-Wüstegiersdorf
Vieh-Weide
Wolkenbrust
Storch B.
Wildtafel
Der hohe B.
Wiesen B.

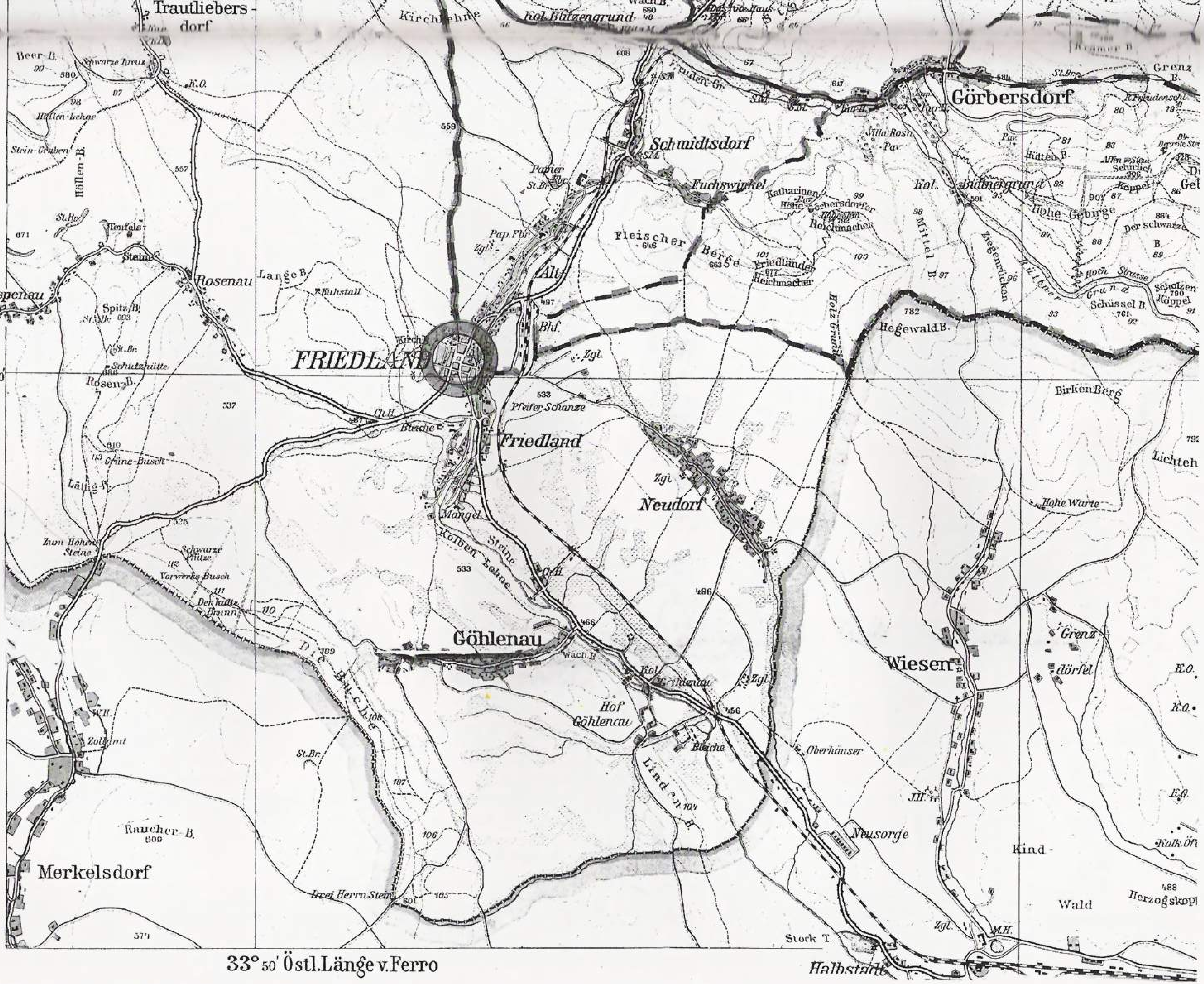
Trautliebers-
dorf
Kirchlehne
Kol. Blitzengrund
Görbersdorf
Grenz B.
Schmidtsdorf
Fuchswinkel
Fleischer Berge
Friedländer Reichmacher
Mittel B.
Ziegenrücken
Kol. Blitzengrund
Hohe Gebirge
Der schwarze B.
Schüssel B.
Hegewald B.
Holz Grund
Birken Berg
Lichteh
Beer B.
Höllen Lehne
Stein Gruben
Höllen B.
Teufels Steine
Rosenau
Lange B.
Kuhstall
Spitz B.
Schutzhütte
Rosen B.
FRIEDLAND
Pfeifer Schanze
Friedland
Pap. Fbr.
Alt
Bhf.
Neudorf
Hohe Warte
Grüne Busch
Zum Hohen Steine
Schwarze Pfütze
Vorwerks Busch
Der kalte Brunn
Kolben Lehne
Mangel
Steine
Göhlenau
Hof Göhlenau
Die Buche
Linden B.
Oberhäuser
Neusorge
Wiesen
Grenz dörfel
Kind - Wald
Herzogskopf
Raucher B.
Merkelsdorf
Drei Herrn Stein
Stock T.
Halbstadt
33° 50' Östl. Länge v. Ferro

d

Podziemne trasy turystyczne w Polsce

Międzyrzecki Rejon Umocniony

Każda z turystycznych tras podziemnych jest wyjątkowa i specyficzna. Jednak o ile w przypadku kopalń, lochów czy jaskiń są obiekty o podobnym charakterze, o tyle MRU jest jedyny w swoim rodzaju i nie ma w Polsce żadnego odnośnika.

Międzyrzecki Rejon Umocniony (niemiecka nazwa Die Festungsfront Oder-Warthe-Bogen, czyli Front Ufortyfikowany Łuku Odry i Warty) był budowany z myślą o obronie wschodniej granicy Niemiec. Budowę pierwszych fortyfikacji rozpoczęto w 1934 roku w oparciu o naturalne przeszkody terenowe (rzeki i jeziora rynnowe). Granice MRU stanowiły dwie duże rzeki: Odra na południu i Warta na północy, teren między nimi nosi miano Bramy Lubuskiej, która od wieków miała olbrzymie znaczenie strategiczne. Pierwotny projekt zakładał budowę kilku grup warownych, a dopiero później modyfikacje doprowadziły do budowy fortyfikacji liniowej. Przedsięwzięcie było ogromne i miało przyćmić wszystko, nie wyłączając słynnej Linii Maginota; zakładano budowę 330 dzieł obronnych na odcinku 80 kilometrów całość planowano ukończyć w 1951 roku. Wybudowano znacznie mniej, ale i tak zastosowane rozwiązania techniczne do dzisiaj budzą podziw: kilkukondygnacyjne schrony nazywane panzerwerkami, wyposażone w automatyczne granatniki, miotacze ognia i karabiny maszynowe. Dodatkowo panzerwerki połączone były podziemnymi korytarzami komunikacyjnymi. MRU został podzielony na trzy odcinki: „Północ", „Wysoka" i „Południe". Odcinek „Wysoka", nazywany również „Centralnym", jest najbardziej rozbudowaną częścią MRU, w której poszczególne grupy warowne podziemnymi korytarzami łączyły się z Główną Drogą Ruchu wyposażoną w podziemne dworce dla kolejki. Odcinek ten miał również dwie baterie pancerne – każda z dużym zespołem podziemi, dzisiaj umownie nazywane „Pętlą Boryszyńską" i „Pętlą Nietoperską". W styczniu 1945 roku oddziały I Frontu Białoruskiego w trwających trzy dni walkach przełamały fortyfikacje MRU; zniszczenia, jakie wtedy powstały, nie były duże znacznie większe poczyniono po wojnie, traktując panzerwerki jako cele dla próbnych strzelań artyleryjskich. Początkowo wojska radzieckie, później polskie zajęły MRU. Rosjanie odkryli słynną zamaskowana komorę, którą wypełniały dzieła sztuki zrabowane przez hitlerowców z polskich muzeów. Polacy chcieli zaadaptować podziemia na magazyny i schrony przeciwatomowe, jednak projekt nie doczekał się realizacji i w 1957 roku wojsko opuściło MRU. To, co z Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego przetrwało do dzisiaj, chociaż mocno zdewastowane i zdekompletowane przytłacza swoim ogromem. Obecnie dla ruchu turystycznego udostępniona jest Grupa Warowna „Scharnchorst", wchodząca w skład odcinka „Wysoka". Wejście do podziemi znajduje się we wsi Pniewo koło Kaławy leżącej przy drodze Międzyrzecz Świebodzin. Turystom pieszym polecam dojazd PKS-em do Kaławy i spacer do Pniewa. Wejścia nie sposób przeoczyć; tuż przy drodze stoi czołg, a poniżej dobrze widoczny pas betonowych zapór przeciwczołgowych – „zębów smoka". Dzierżawcą trasy jest Agencja Turystyczna „Pro Nature" Sp. z o.o. (Pniewo, 66-305 Kaława, tel. (095) 741 13 20, fax 741 29 31, tel. kom. 090 61 64 65)

Trasę można zwiedzać codziennie w godzinach 10.00-15.00, a od 1 lipca do 31 sierpnia do godziny 18.00. Trasa jest nieczynna od 23 grudnia do 10 stycznia. Dla zwiedzających przygotowano dwa warianty: około 2-kilometrowy – czas zwiedzania 2-2,5 godziny i 12-kilometrowy – czas zwiedzania 6-7 godzin. MRU ma również swoją stałą załogę forteczną, którą są nietoperze. „Latające myszy" w podziemiach MRU czują się wybornie i ściągają tłumnie na zimowisko, które jest największym w Europie. Warto dodać, że fragment podziemi został objęty ochroną jako rezerwat przyrody „Nietoperek". Wszyscy zwiedzający trasę mogą przyjrzeć się żywym nietoperzom oraz obejrzeć poświęconą im ekspozycję.

Tym, którym zwiedzanie trasy nie wystarczy, polecam odwiedziny w miejscowości Stary Dworek pod Skwierzyną, gdzie na wzgórzu, nad meandrującą rzeką Obrą znajdują się pozostałości Grupy Warownej „Ludendorff". Pomijając przyjemność płynącą z samodzielnego zwiedzania, warto obejrzeć „Ludendorffa", gdyż była to grupa eksperymentalna i niektóre z zastosowanych rozwiązań występują tylko tu.

UWAGA: Przed wejściem do MRU i GW „Ludendorff" bezwzględnie należy zaopatrzyć się w latarkę i ciepłe ubranie; w podziemiach panuje temperatura około 10 stopni Celsjusza. Ponadto szczególnie uważać należy przy szybach zejściowych, gdzie niestety zdarzały się wypadki śmiertelne, i na niezabezpieczne studzienki. „Ludendorffa" najlepiej nie zwiedzać samotnie.
Noclegi można znaleźć w Skwierzynie, Świebodzinie i Międzyrzeczu. W okresie wakacji i ferii funkcjonują schroniska młodzieżowe.

Tekst Radosław Biczak
Zdjęcia Adam Wojcieszonek

W krótkim artykule trudno przedstawić niezwykle ciekawą historię Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego. Zainteresowanych odsyłam do książki „Międzyrzecki Rejon Umocniony" autorstwa Bogusława Perzyka i Janusza Miniewicza.

Międzyrzeckie podziemia przytłaczają swoim ogromem

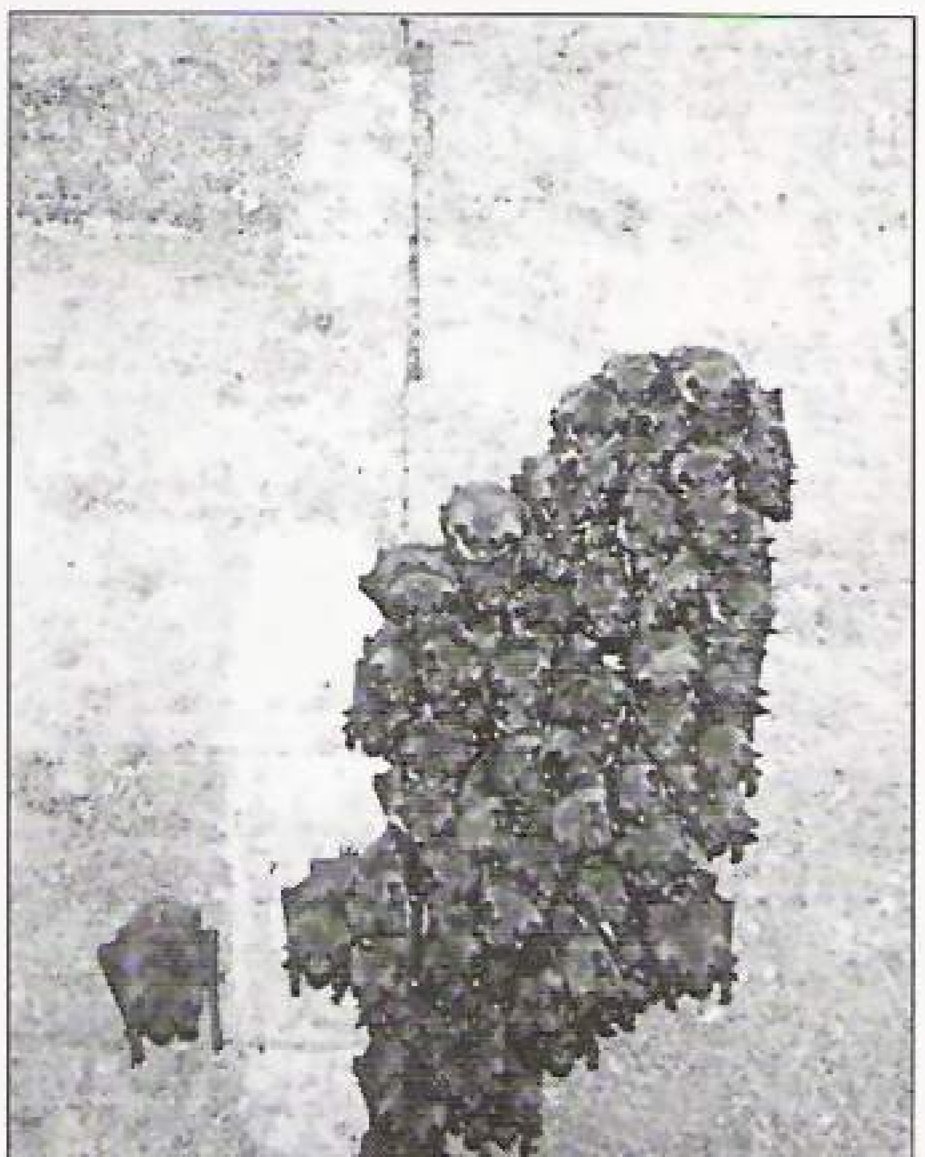

MRU to największe w Europie zimowisko nietoperzy

Tajna lista – Krzystkowice

W lesie koło Nowogrodu Bobrzańskiego kryje się olbrzymi kompleks żelbetowych obiektów, podobny do tego, który jest koło Zasiek. Była to kiedyś fabryka materiałów wybuchowych, należąca prawdopodobnie do niemieckiego koncernu chemicznego „IG-Farben", jak twierdzą jedni, albo DAG – Alfred Nobel Dynamit Aktien Gesellschaft, jak chcą inni.

W cytowanej przez nas liście pułkownika Henryka Wcisły pod poz. 18 opisano go następująco: *Pow. Żary, m. Krzystkowice – była fabryka niemiecka materiałów wybuchowych (zdemontowana). Teren zajęty pod obiekt wynosi kilkadziesiąt ha.*

Jeden z najciekawszych obiektów w krzystkowickiej fabryce. W biegnących spiralnie kanałach zachowały się jeszcze kafelki.
fot. Radosław Biczak

Krzystkowice nazywały się przed 1945 r. Christianstadt. Dziś ta miejscowość stanowi część Nowogrodu Bobrzańskiego. W pobliskich lasach w połowie lat trzydziestych zlokalizowano wspomnianą fabrykę. Była elementem planu przygotowań hitlerowskich Niemiec do wojny. We wrześniu 1939 r. pracowała już pełną mocą. Robotników niemieckich powoływanych na front zastępowali robotnicy przymusowi i więźniowie. Na terenie fabryki prawdopodobnie funkcjonowało 11 odrębnych obozów pracy i filia obozu koncentracyjnego Gross-Rosen.

Na początku 1945 r. Niemcy przystąpili do demontażu, któremu przeszkodziło szybkie przesuwanie się frontu. Rejon Krzystkowic został łatwo opanowany przez Armię Czerwoną po oskrzydlającym manewrze od zachodu. W ręce Rosjan wpadła przypuszczalnie kompletna fabryka. W lipcu 1945 r. trafili tu pierwsi Polacy – ekipa kolejarzy. Mieli za zadanie uruchomienie trasy kolejowej na zachód. Ich uwagę zwróciła bocznica kolejowa, która prowadziła na teren opisywanej fabryki. Zastali ją w dobrym stanie, ale bez żadnych maszyn i urządzeń. W następnych miesiącach i latach wywożono stąd wszystko to, co mogło się przydać przy odbudowie kraju. Około 1958 roku część terenu fabryki przejęło wojsko, które znajduje się tu do dziś, a cały obszar oznakowano jako wojskowy i zakazano do niego wstępu. Dopiero kilka lat temu zakaz ten cofnięto. Teraz gospodarzem terenu jest Nadleśnictwo w Nowogrodzie Bobrzańskim.

W fabryce produkowano – i to jest pewne – materiały wybuchowe. Prawdopodobnie dokonywano tu także elaboracji pocisków, które były testowane na zakładowej strzelnicy. Według przekazów, znaleziono tam po wojnie stalowe płyty pancerne grubości 15 centymetrów ze śladami strzałów.

Na terenie fabryki jest kilkaset różnych obiektów, połączonych betonowymi drogami. Prowadzące tam tory kolejowe rozebrano. Niestety, do dziś nie wykonano inwentaryzacji i dlatego trudno o precyzyjne dane. Wydaje się, że żaden z obiektów fabrycznych nie został wysadzony w powietrze. Pozostały z reguły tylko betonowe mury, natomiast ceglane zdążono rozebrać.

Fabryka czerpała i odprowadzała wodę do pobliskiego Bobru. Przez jej obszar przechodzi kanał, do którego wpadają kolektory o średnicy od 20 do 60 centymetrów. (Podobno niektóre z nich pozwalają urwać się na przepustkę żołnierzom z jednostki, która zajmuje część dawnej fabryki.) Na brzegu rzeki zbudowano dwa olbrzymie zbiorniki, skąd wodę pompowano dalej trzema kolektorami o średnicy 80 centymetrów. W zachowanych budynkach mieściły się stacje pomp i filtry. Obok tego spotykamy liczne śluzy, studnie i włazy kanalizacyjne. Woda była w fabryce materiałów wybuchowych niezbędna.

Ścieki fabryczne neutralizowano w kompleksie oczyszczalni. Zachowały się dwa czterokomorowe baseny rozdzielone systemem kanałów. Były tu zapewne filtry, osadniki, pompy i mieszadła. Jako filtry wykorzystywano prawdopodobnie ziemię okrzemkową. Podziw wzbudzają żelbetowe obiekty wysokości około 20 metrów, mające kształt otwartej beczki. Według przekazów, wewnątrz znajdował się metalowy zbiornik wyłożony warstwą gumy i kwasoodporną glazurą. Podobno dokonywano tutaj syntezy nitrogliceryny.

Interesujący jest budynek kotłowni, skąd ciepło dostarczano do wszystkich obiektów. Piece opalano miałem węglowym, który przywożony był na składowisko wagonami i transportowany dalej dwoma bardzo dużymi dźwigami bramowymi. Wspomniani wcześniej kolejarze zastali tu pryzmę opału – miału i drobnego węgla – wysokości dwóch pięter.

Wart obejrzenia jest także budynek administracyjny, gdzie – według przekazów – mieściła się dyrekcja fabryki.

Leszek Adamczewski w swoim cyklu artykułów na temat opisywanej fabryki cytuje wspomnienia Bogdana Sadowskiego – jednego z kolejarzy, którzy

Nie ma planów ani żadnych dokumentów dotyczących fabryki. Przeznaczenia tych obiektów możemy się dziś tylko domyślać.
fot. z archiwum ODKRYWCY

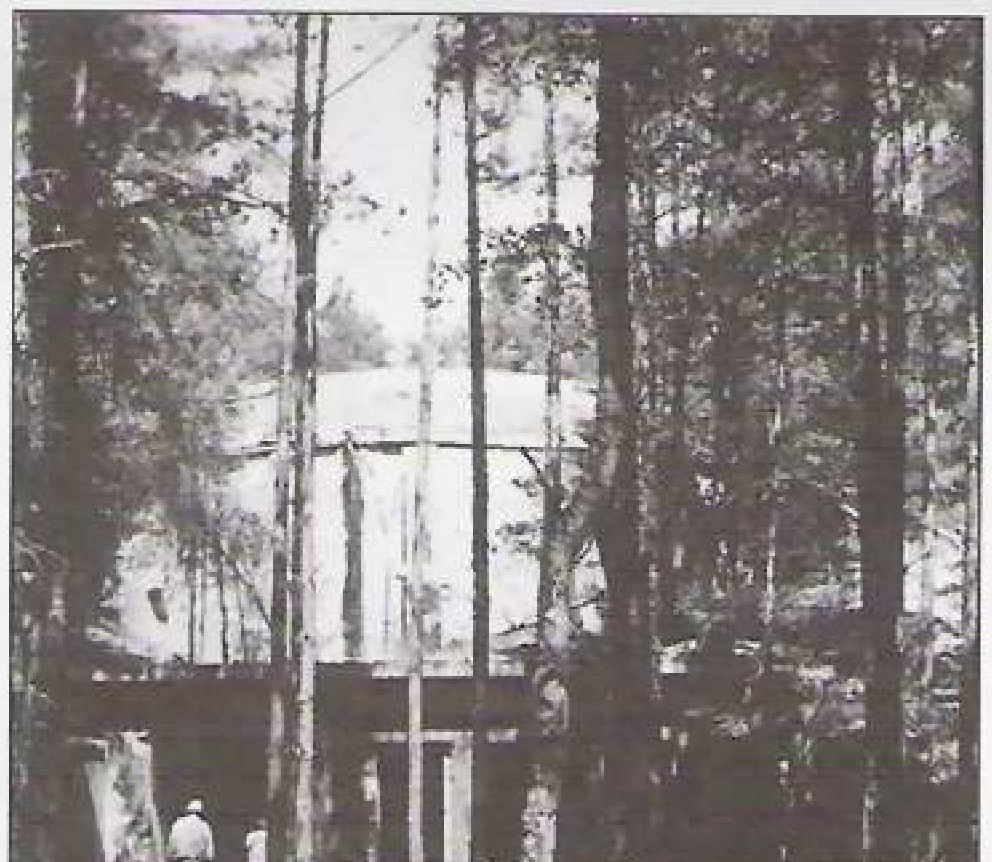

Zbiornik znajduje się w dużym nasypie ziemnym, dlatego z zewnątrz nie wygląda imponująco. Dopiero z góry widać, jaki jest potężny.
fot. z archiwum ODKRYWCY

w 1945 roku penetrowali teren fabryki („Głos Wielkopolski" z 25 sierpnia 1997 r.): *(...) Sprawdzając stan urządzeń kolejowych (...) posuwaliśmy się w głąb fabryki. Sieć torów była coraz rozleglejsza. Robiło to wrażenie sporej stacji. Idąc jednym z głównych torów, po około dwóch kilometrach natrafiliśmy na dwie potężne hale łączące się pod kątem prostym. Przylegały do nich rampy kolejowe, a obok przebiegały tory. Jeden z nich, z dużym spadkiem, wchodził do podziemi pod jedną z hal. Brama wjazdowa była otwarta, a na jej progu zrzucono dużą ilość wapna gaszonego. W tę hałdę wapna wjechał parowóz, tak zwany tendrzak. Wszystko to wyglądało dziwnie. Uznaliśmy to za pułapkę i odstąpiliśmy od dalszego penetrowania tych obiektów. (...)*

Nad wejściami do budynków wisiały tablice, które w kilku językach ostrzegały, że do tych pomieszczeń nie wolno wchodzić nikomu, kto posiada przy sobie jakiekolwiek elementy metalowe, na przykład guziki czy gwoździe w butach, ponieważ stanowi to zagrożenie dla życia. Nie zlekceważyliśmy tak groźnie brzmiącego ostrzeżenia. Ja i jeden z kolegów nie mieliśmy nawet plomb w zębach. Rozebraliśmy się więc do naga i weszliśmy do bunkra. W pomieszczeniu o wymiarach około dwóch na pięć metrów i dwóch metrów wysokości podłoga wyłożona była miękką gumą. Przy dłuższej ścianie stał drewniany stół z wbudowanym od strony ściany drewnianym korytem o głębokości około dziesięciu centymetrów. Na dnie koryta leżała gumowa taśma. Nad lewym końcem stołu zwisała drewniana, czworokątna rura, natomiast na prawym końcu taka sama rura odchodziła w dół, gdzieś w ziemię. Na stole walał się jakiś proszek koloru kremowego oraz takiego samego koloru torebki z papieru parafinowanego. (...)

Gęsto rozstawione białe tablice z trupią czaszką i czarnym napisem ostrzegały, że na terenie fabryki wolno poruszać się tylko po traktach utwardzonych. Chodzenie na przełaj groziło niebezpieczeństwem. Jakim? Tego nie sprawdzaliśmy. To, że nikt z nas nie zginął w fabryce, zawdzięczamy temu, iż wierzyliśmy niemieckim tablicom ostrzegawczym. (...)

Dziś nie ma już tablic ostrzegawczych. Poruszanie się po terenie fabryki, mimo upływu czasu, jest jednak niebezpieczne. Niemieckie ostrzeżenia są nadal aktualne. Szczególnie ostrożnie należy posługiwać się ogniem. Bo to i las, i w wielu miejscach zachowały się osady pyłów materiałów wybuchowych, a nie zawsze zapach podpowie nam ich obecność. Pamiętać też należy, że omawiany teren należy do Lasów Państwowych i nie wolno po nim jeździć bez zgody leśniczego.

Marek Dudziak

Tajemnice archiwów (II)

Jak wspomniałem w pierwszej części cyklu „Tajemnice archiwów" (patrz – „Odkrywca" 5/98), chciałbym przedstawić czytelnikom wydarzenia, które miały miejsce po zakończeniu II wojny światowej, a dotyczą obiektów będących w sferze zainteresowań poszukiwaczy. Zdarzenia te zawarte zostały w tajnych raportach na kartach setek teczek, które stopniowo odsłaniają nieznane fakty z historii Polski.

O tajemnicach Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego i fortyfikacjach zachodniej części Polski pisano już wielokrotnie. Po 1945 roku Ministerstwo Obrony Narodowej przejmowało od Rosjan „rozszabrowane" obiekty i linie fortyfikacyjne. 6 lutego 1948 roku w Gorzowie Wielkopolskim został podpisany protokół dotyczący skontrolowanej dokumentacji zwiadu inżynieryjnego DOW III i sprawdzenia w terenie 35 obiektów rozrzuconych na całym pasie obronnym na podstawie dyrektywy MON nr 21 z dnia 27 listopada 1947. Protokół podpisali: przewodniczący – główny inspektor Wojsk Inżynieryjno-Saperskich, generał dywizji Jerzy Bordziłowski, członkowie – ppłk Iwanow z DOW III, ppłk Kasperowicz z Departamentu Uzbrojenia MON, mjr Kaszperski ze Sztabu Generalnego, kpt. Witkowski z III Wicem. ON. Teren zwiadu inżynieryjnego obejmował:

linię obrony od rzeki Warty w rejonie Skwierzyny, przebiegającą przez powiatowy Międzyrzecz, Sulechów od rzeki Odkry i dalej od wsi Nietkowice wzdłuż lewego brzegu rzeki Odry do mostu kolejowego – połno. Nowa Sól.

Ogólna ilość zbadanej linii obronnej wynosi 115 km. Zbadana linia fortyfikacyjna, zarówno pod względem zadania, jak i zastosowanego typu obiektów, rozpada się na dwa zasadnicze odcinki:

a. Linia potężnych fortyfikacji pancerno-żelbetonowych i przeszkód przeciwpancernych pomiędzy Wartą i Odrą na przestrzeni około 75 km.

b. Bierna linia ryglowa wzdłuż Odry rozbudowana w postaci jednego rzędu schronów żelbetonowych BSB, pobudowanych bezpośrednio na zachodnim brzegu rzeki dla ostrzału lustra wody (...)

Na odcinku od rzeki Warty do Odry prawie wszystkie obiekty pancerno-żelbetonowe zostały przez Armię Czerwoną zniszczone przez wysadzenie, przy czym na niektórych obiektach kopuły pancerne pozostały, zachowując pewną wartość obiektu (...)

Dalej w opracowaniu przedstawiono podział na poszczególne odcinki linii obronnych między rzeką Odrą i Wartą według aktualnego stanu umocnień.

Ciekawe informacje zawierają wnioski ogólne.

1. (...) Odcinek linii między Wartą i Odrą pomimo wielkiego zniszczenia zachowuje pewną wartość operacyjną w ogólnej koncepcji obrony Państwa, a to ze względu na swoje urządzenia przeciwczołgowe, ocalałe stanowiska ogniowe pancerne oraz rozgałęziony system galerii podziemnych.

Pozycja ryglowa nad rzeką Odrą w ocenie wartości operacyjnej musi być zróżniczkowana na:

a. Odcinek nr IV od kolana rzeki Odry pod m. Oderek skierowany frontem na północ, który może być ewentualnie wykorzystany jako rygiel.

b. Odcinek nr V od m. Oderek do m. Nowa Sól posiadający front na wschód i podlegający jak najszybszemu zlikwidowaniu jako odcinek nieprzydatny i niebezpieczny. (...)

3. Istniejące suche galerie i izby podziemne o powierzchni około 50 000 m^2 mogą być wykorzystane jako schrony lub magazyny wojskowe.

4. W związku z tym należy całą linię obronną Warta-Odra oraz odcinek ryglowy Odry nr IV przejąć przez zarząd wojska. W tym celu należy:

a. Zanulować decyzję Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów z dnia 26.08.1946 r. pkt. 4 oddający tzw. „Linię Hindenburga" do eksploatacji i wykorzystania Ministerstwu Przemysłu i Handlu.

b. Zorganizować nadzór i konserwację obiektów oraz urządzeń fortyfikacyjnych na obszarze OW III. (...)

6. Odnośnie nazwy dla fortyfikacji poniemieckiej, określanej dotychczas „Linia Hindenburga" itp. – Komisja proponuje: nie nadawać pozostałym fortyfikacjom poniemieckim jakichś historycznych lub uroczystych nazw, a to ze względu:

a. że chodzi tu o fortyfikacje pobudowane przez Niemców, a więc nie dostosowane do naszych potrzeb obronnych,

b. że linie fortyfikacyjne są w większości zniszczone.

W związku z tym Komisja wysuwa propozycję nadania całości poniemieckiej linii fortyfikacyjnej na zachodzie nazwy „Linia Podkowy", nawiązując w ten sposób do półkolistego narysu omawianych fortyfikacji.

Całość fortyfikacji „Linia Podkowy" obejmowałaby kolejne, licząc od północy, systemy: Wał Pomorski, Rygiel Noteci, Bariera W-O (Warty-Odry), Fortyfikacje Śląska – które ewentualnie mogłyby otrzymać nazwę specjalną.

7. Sprawa złomu powojskowego nie może być rozwiązana przez samowolne zbieranie materiału powojskowego przez organizacje podległe Ministerstwu Przemysłu i Handlu, bez kontroli ze strony Władz Wojskowych. Zarówno w obiektach fortyfikacyjnych, jak i okolicznych miejscowościach, znajduje się poza rzeczywistym złomem jeszcze sporo materiału wojskowego, materiału instalacyjnego itp.

Przekazanie tego rodzaju materiału do Centrali Złomu może nastąpić jedynie wówczas, gdy kompetentne władze wojskowe zaklasyfikują dany materiał jako złom, w żadnym wypadku nie może być dopuszczalna samowolna eksploatacja przez firmy obejmujące do wykorzystania całe rejony.

By uporządkować te sprawy, należałoby:

a. Wstrzymać niezwłocznie wszelką eksploatację złomu wojskowego przez Centralę Złomu i instytucje jej podległe do czasu zorganizowania Komendantury Obszaru Fortyfikacyjnego.

b. Z chwilą utworzenia tego rodzaju Komendantury powierzyć jej kompetencje klasyfikacji i przekazywania złomu dla wojska na rzecz Centrali Złomu.

c. Na terenach, na których utworzenie Komendantur Obszarów Fortyfikacyjnych nie jest przewidziane – klasyfikację złomu należy powierzyć bezpośrednio Okręgom Wojskowym.

Odpis tego dokumentu zawiera 7 stron maszynopisu. Na podstawie tekstu możemy stwierdzić, że wojsko nie było w stanie zinwentaryzować wszystkich obiektów i linii obronnych w tak krótkim czasie i z tak małą liczbą odpowiednio wykwalifikowanych specjalistów. Również w pierwszych latach powojennych, wobec panującego bałaganu kompetencyjnego i wszechwładnych rządów Sowietów, zniszczono dużo cennych (historycznych) obiektów i zagrabiono wiele dóbr kultury ocalałych z pożogi wojennej. Realizowany w 1997 r. pod kierownictwem prof. arch. Andrzeja Gruszeckiego grant KBN pt. „Kartograficzne udokumentowanie zasobów budownictwa obronnego w Polsce XVIII-XX w." był poważną próbą podsumowania wiedzy o stanie i zachowaniu obiektów fortyfikacyjnych na terenie Polski. Sądzę, że istnieje pilna potrzeba zinwentaryzowania obiektów podziemnych związanych z przemysłem zbrojeniowym (nie tylko pohitlerowskich), które dla służb konserwatorskich nie przedstawiają prawie żadnej wartości historycznej i które mogą ulec całkowitemu zniszczeniu. A warto dla potomnych zachować ten ślad dziedzictwa kulturowego (chociażby na kartach poważniejszego opracowania).

Zbigniew Rekuć
rzeczoznawca Ministra Kultury i Sztuki w zakresie ochrony podziemnych zabytków techniki

Szlakiem wiatru i sów (1)

Niegdyś zaskoczyło mnie spostrzeżenie, że specjalistami od starych fortyfikacji są badacze populacji nocków, gacków i innych karlików, a więc fachowcy od nietoperzy. Podobnie rzecz się ma i w dziedzinie, w której uzyskałem tytuł magistra. Kończąc studia inwentaryzowałem wiatraki województwa siedleckiego. Obroniłem pracę i poszedłem do wojska. Potem nie udało mi się otrzymać

Tadeusz Jurzyk z Przyworów Dużych przed wojną wznosił wiatraki, a teraz na zamówienie i dla własnej przyjemności buduje wiatraczki do ogródków. Przed swoim domem postawił dwa ściśle według prawideł dawnej ciesielki, co widać we wnętrzu z charakterystyczną konstrukcją koźlaka.

pracy w instytucji zajmującej się m.in. wiatrakami, więc zająłem się innymi sprawami.

Ale zainteresowanie ulubionym tematem nie znika. Każdy nowo spotkany wiatrak fotografowałem. Sprawiałem, że stawał się jedną z atrakcji wycieczek, jakie organizowałem po Podlasiu dla Siedleckiego Klubu Kolekcjonerów. Często te same obiekty fotografowałem ponownie, lecz już jakby w innej epoce, epoce fotografii kolorowej. Jednak nie wszystkie. Podróżując starymi szlakami po upływie piętnastu lat stwierdziłem, że w danej miejscowości były dwa wiatraki, a teraz jest jeden, w innej też były dwa... Były. Ocalały tylko czarno-białe zdjęcia i opisy. Co najmniej połowy tych ozdób pejzażu podlaskich wsi już nie zobaczyłem. I to jest zaskakujące, że obecną sytuację tych obiektów znam dzięki ornitologom. Oni to badając populacje sów odwiedzają takie budowle jak wieże kościelne i wiatraki. Kiedyś były to młyny tętniące pracą, napędzane siłą wiatru, teraz, opuszczone i niszczejące, stały się siedliskiem rzadko widywanych przez laika ptaków. Stąd w tytule wiatr i sowy, dwa pojęcia spinające dwie epoki trwania tych budowli.

Niewiele z nich zostało zamienionych na młyny elektryczne. Inne próbuje się przystosować do celów mieszkalnych czy innych, do czego najlepiej nadają się holendry. Jeszcze mniej próbuje się uratować w skansenach. A są ciekawymi przykładami skomplikowanego budownictwa wiejskiego, efektem pracy wiejskich cieśli wznoszących – zwykle bez żadnych planów – doskonale wyważone obiekty, wykorzystujące dobroczynną siłę wiatru i nie ulegające jego sile niszczącej.

Najstarszym typem i najbardziej rozpowszechnionym jest koźlak stojący na podstawie składającej się z dwóch skrzyżowanych podwalin i ukośnych belek-zastrzałów tworzących kozły (stąd nazwa). Wyżej było siodło, na którym cały budynek był obracany w kierunku wiejącego wiatru. Potem nastały czasy holendrów, często murowanych, w których obracano czapę-dach z wałem śmigowym i śmigami. W przeciwieństwie do koźlaka, w holendrze wszystkie kondygnacje wykorzystywano do przemiału zboża. Najmłodszy typ to paltrak, którego cały budynek obracał się na kolistym torze jezdnym.

Wiatraki pełniły nie tylko funkcję gospodarczą. Były estetyczną i dynamiczną dominantą w pejzażu wsi, natchnieniem dla artystów, zwłaszcza malarzy (choćby Aleksander Orłowski, Jan Stanisławski). Obok kościoła, karczmy i kuźni stanowiły centrum informacyjne w danej miejscowości. Tu w oczekiwaniu na śrutę czy mąkę wymieniano najświeższe wiadomości i plotki, komentowano wydarzenia. Przed wiatrakami się fotografowano, nawet wtedy, gdy już były nieczynne. Zawsze stanowiły atrakcję w okolicy.

Ozdoba ogródka w Zbuczynie

Wiele z nich istnieje już tylko w pamięci ludzkiej i na fotografiach dawno wykonanych na pamiątkę wakacyjnego pobytu w miejscowości, do której już nie zajeżdżamy. Dlatego proponuję przejrzenie domowych archiwów, odgrzebanie tych zdjęć z wiatrakiem w tle i przysłanie reprodukcji do „Odkrywcy" wraz z krótką notką zawierającą (w miarę możliwości) dane o dokładnym usytuowaniu i typie wiatraka, dacie wzniesienia, właścicielu i dacie wykonania zdjęcia. Także podczas obecnych wędrówek turystycznych, poszukiwawczych fotografujmy te wiatraki, które jeszcze ocalały i cieszą nasze oczy. Jeśli ktoś chciałby wziąć udział w akcji, a nie ma na jego terenie tego rodzaju obiektów, służę informacjami nie tylko z moich najbliższych okolic.

Ożywmy szlak wiatru i sów. Uzupełnijmy o te etapy i punkty, które już zaginęły i o te jeszcze istniejące, którym grozi taki sam los. Być może w ten sposób przyczynimy się do uratowania niejednego wiatraka. A warto, bo teraz coraz częściej spotyka się różnego rodzaju i koloru wiatraczki pełniące funkcje ozdobne i użytkowe w ogródkach, na placach sprzedaży jako elementy reklamy firm itd.

Za miesiąc proszę oczekiwać informacji o dużym, prawdziwym wiatraku i zdjęć, jakich już się nie powtórzy.

Tekst i zdjęcia
Sławomir Kordaczuk

Kurnik w Pruszynie

Dlaczego szukamy skarbów?

Każdy z nas, poszukiwaczy, mógłby bez zastanowienia odpowiedzieć na to – wydawałoby się, banalne i retoryczne – pytanie. Sęk w tym, iż gdyby rozpatrzyć większą liczbę takich odpowiedzi, to okazałoby się, że różnią się one między sobą. Istnieje bowiem cały zespół przyczyn, dla których wstępujemy na ścieżki łowców skarbów. Część z tych pobudek tkwi w naturze człowieka, inne znów w otaczającej go kulturze – są one tak różne, jak różne są osobowości poszukiwaczy, przy czym nie wszystkie w pełni sobie uświadamiamy. Spróbujmy więc prześledzić kilka najistotniejszych tropów, szukając tym razem nie skarbów, lecz – co może być równie pasjonujące – genezy samej eksploracji.

Odpowiedź na tytułowe pytanie ciśnie się niemal bezwiednie na usta: szukamy po to, by znaleźć. Znaleźć chcemy najczęściej po to, by wejść w posiadanie cennego znaleziska, za którym to pragnieniem stoi wizja szybkiego wzbogacenia się i materialnego dobrobytu. Pragnienie takie może przerodzić się w skrajnych przypadkach w manię lub obsesję, gdy poszukiwacze we wszystkich swych działaniach zmierzają do odnalezienia hipotetycznego nierzadko skarbu kosztem innych dziedzin życia. (Historycznym przykładem służą „gorączki złota" w USA i Australii czy dokonania konkwistadorów w czasie podboju Nowego Świata.) Istnieją jednak również poszukiwacze-altruiści, którzy chcą odnajdywać ukryte dobra nie dla siebie – egoistycznie, lecz dla „celów wyższych", na przykład dla pomnożenia dziedzictwa kulturowego naszego kraju. (Szukają więc choćby zaginionych w czasie II wojny światowej skarbów kultury polskiej, by przekazać je muzeom.)

Są i tacy eksploratorzy, którzy poszukują nie dlatego, by znaleźć, ale dlatego, że lubią szukać. Można się tu dopatrzyć analogii z legendą o Świętym Graalu, gdzie właściwym celem jest poszukiwanie samo w sobie, a nie odnalezienie. Mówi też o tym znana skądinąd maksyma „żyć znaczy poszukiwać", czyli – póki życia, póty szukania. (Choć rozumując dalej w tym kierunku skonstatujemy, iż odnaleźć znaczy... umrzeć.) Istnieje przecież spora liczba poszukiwaczy, którzy – dajmy na to – chodzenie po lesie z wykrywaczem metalu traktują jako formę aktywnego wypoczynku, rekreacji. Mizerne wyniki takich poszukiwań w jakiś sposób świadczą o tym, że nie o pozyskiwanie znalezisk tu idzie, lecz po prostu o miłe spędzanie wolnego czasu.

Ku ukrytym skarbom pcha nas także pragnienie przeżycia przygody – poszukiwanie, a zwłaszcza odnajdywanie skarbów zawsze wiązało się z dużymi emocjami, których znudzony szarą codziennością człowiek pragnie doświadczyć. Niepoślednie znaczenie ma tu również uwielbiane przez niektórych ryzyko towarzyszące poszukiwaniom; czy to dotyczące zagrożenia życia (np. przy eksploracji podwodnej lub podziemnej), czy też wynikające z nielegalnego charakteru niektórych poszukiwań. Znakomita większość łowców skarbów rekrutuje się spośród płci brzydkiej, więc tym, co ich pociąga w eksploracji może być także chęć identyfikacji ze stereotypem twardego mężczyzny – odważnego eksploratora, śmiałego odkrywcy, sławnego podróżnika itp. Poszukiwacz skarbów ma szansę być (lub sprawiać wrażenie, że jest) nimi wszystkimi naraz, a aura tajemniczości otaczająca skarby (więc siłą rzeczy także ludzi zajmujących się nimi) dopełnia dzieła.

Inna z wielu przyczyn pchających ludzi do poszukiwań tkwi w folklorze i literaturze. Z ukrytymi skarbami spotykamy się bowiem po raz pierwszy w życiu w bajkach, baśniach i legendach z dzieciństwa. Dzieci nieświadomie przyswajają sobie wzory zachowań bohaterów odnajdujących zaklęte skarby. Kształtują się wtedy ich dążenia i marzenia, które potem – jako dorośli ludzie – starają się zrealizować w rzeczywistości. Podobnie mobilizującą rolę odgrywa również folklor środowiskowo-zawodowy poszukiwaczy skarbów. Informacje o skarbach i opowieści o znaleziskach przekazywane z ust do ust (oczywiście w odpowiedniej formie, np. przy ognisku po „akcji w terenie") potrafią rozbudzić wyobraźnię największego nawet sceptyka. Notabene rozpowszechnianie takich poszukiwawczych plotek (nierzadko przesadzonych lub zmyślonych) jest chyba drugą co do ważności formą aktywności eksploratorów, jeśli za pierwszą uznamy samą eksplorację; baczmy tylko, by ta kolejność się nie odwróciła... Właściwie całe środowisko poszukiwaczy sprawia wrażenie samonapędzającej się maszynerii – wewnętrzne interakcje pobudzają ją do działania. Weźmy na przykład rywalizację między łowcami skarbów: twierdzenie, iż co roku w Polsce jest coraz mniej nie odkrytych skarbów, a coraz więcej ich poszukiwaczy, jest nie do obalenia. Stąd wniosek – trzeba szukać, i to szybko. Z drugiej strony współpraca między eksploratorami czy ich grupami ma również charakter dopingujący: w przypadku zniechęcenia jednej osoby lub grupy inne zachęcają ją do zwiększenia bądź wznowienia aktywności. Warto też zwrócić uwagę na czynnik prestiżu, sławy odkrywcy skarbu – każde poważniejsze znalezisko odbija się w „branży" szerokim echem, szuka się więc także i po to, by tę sławę zdobyć.

Poza tym dla wielu osób poszukiwanie skarbów stanowi wyzwanie jako forma rywalizacji pomiędzy możliwościami człowieka a siłami przyrody. (W sensie: czy da się wyrwać dany skarb ziemi lub wodzie?) Osobny wymiar tego zjawiska to rozwiązywanie zagadek historii, odkrywanie tajemnic przeszłości – nagrodą dla zwycięzcy w tej próbie sił jest odnaleziony skarb...

Jak widać, cały zespół przyczyn pcha ludzi ku ukrytym skarbom. Być może najważniejsza z nich to dążenie ludzkości do poznania i mentalnego uporządkowania świata, w którym przyszło jej żyć – dotyczy to przede wszystkim rzeczy i miejsc jeszcze nieznanych – „białych plam". A taki charakter mają właśnie skarby, które „są (w przekazach na ich temat, w umysłach poszukiwaczy czy wreszcie w jakimś konkretnym choć nieznanym miejscu), a jakby ich nie było (są bowiem niedostępne, ukryte)." Człowiek pragnie zniwelować ten dysonans, podejmuje więc wyzwanie i szuka skarbów, tak jak zdobywa szczyty górskie czy przemierza pustynie i oceany. Jest to część procesu „oswajania świata".

Piotr Maliński

Piotr Maliński jest studentem IV roku antropologii kulturowej UAM; zajmuje się eksploracją w praktyce, jak również traktuje ją jako pole do badań naukowych. Niniejszy artykuł jest streszczeniem jednego z rozdziałów jego pracy licencjackiej pt. *Poszukiwania skarbów w Polsce. Analiza antropologiczna wybranych aspektów zjawiska.*

Książ wydzierżawiony

Ostatnio polską prasę obiegły informacje o wydzierżawieniu zamku Książ. Jest to miejsce od wielu lat interesujące poszukiwaczy skarbów. Owo zainteresowanie wiąże się z urządzaniem w Książu w czasie drugiej wojny światowej kwatery dla Hitlera oraz z pogłoskami o nieznanych podziemiach i ukryciu tu przez Niemców skarbów. Jak do tej pory, poszukiwania oficjalnie nie przyniosły żadnego rezultatu. Dlatego Książ nadal intryguje.

29 maja bieżącego roku Zarząd Miasta Wałbrzycha – właściciela zamku – podpisał umowę dzierżawy z brytyjską firmą First National Trust Company. Ta spółka powiernicza współpracuje z Heritage International Ltd, która jest firmą deweloperską, przygotowującą ośrodki do funkcjonowania na zasadach timeshire. Zamek Książ ma bowiem wejść w skład sieci ośrodków Holiday Ownership.

Brytyjczycy wydzierżawili część zamku o powierzchni 4 252 m^2 z przeznaczeniem na stworzenie dwustu luksusowych apartamentów na trzecim, czwartym i piątym piętrze. Na ostatnim piętrze ma powstać restauracja. Zgodnie z umową dzierżawy, zawartą na trzydzieści lat, wydzierżawiający zobowiązuje się do niezwłocznego podjęcia prac remontowych i adaptacyjnych. W tym roku mają być oddane do użytku co najmniej dwa apartamenty. Według umowy każdy z nich będzie udostępniany pięćdziesiąt tygodni w roku osobom, które wykupią prawo ich użytkowania. Standard ma odpowiadać czterogwiazdkowemu hotelowi. Gmina Wałbrzych od każdego sprzedanego tygodnia otrzyma 1 000 funtów szterlingów. Władze liczą na 50 000 funtów, tj. około 300 000 złotych rocznie od każdego apartamentu, czyli około 60 000 000 złotych rocznie. Budżet miasta wynosi około 200 000 000 złotych. Zapowiedzi brzmią więc fantastycznie – wpływy rzędu jednej trzeciej całego budżetu. Do tego jeszcze należy doliczyć dochody z turystyki, bowiem wszystkie aktualnie wykorzystywane pomieszczenia, szczególnie zabytkowe na parterze i piętrze, pozostaną otwarte dla turystów.

Jak zwykle w tego typu sytuacjach pojawiają się wątpliwości i pytania, na które nie jesteśmy w stanie odpowiedzieć. Poszukiwacze skarbów powiedzą, że zamek wydzierżawiono, aby spokojnie móc prowadzić poszukiwania. Wiążą z tym pogłoskę o zamurowaniu w Książu dokumentów. Wątpliwości wynikają szczególnie z dwu przesłanek: pierwsza to wysoki, ba! fantastyczny dochód, jaki planuje się osiągnąć, druga – fakt, że miesiąc od daty podpisania umowy na zamku nic się jeszcze nie działo. Czas zapewne pokaże, jaka jest prawda.

MD

Z redakcyjnej skrzynki

Pan **Piotr Michalak** z Rybnika napisał do nas o penetrowanych przez jego grupę ruinach zamku w Tworkowie.

Są tam jeszcze dobrze zachowane herby, a na wieży zegar, który dałoby się uruchomić, lecz niestety zezwolenia na jego wydobycie oraz innych rzeczy nie dostaliśmy, więc sądzę, że popadnie to wszystko w totalną ruinę. (...) gdy weszliśmy, po dziesięciu minutach przyjechała policja – kto pozwolił wejść, co tu robimy itp. (jest tam zakaz wstępu, ogrodzone). Gdy wszystko wyjaśniłem, okazałem zezwolenie, to zapytałem, dlaczego nie pilnują wtedy, gdy ludzie zaśmiecają zabytek. Odpowiedź: „My wszystkiego nie możemy pilnować." (...) była tam nawet stara syrenka zasypana obsypującą się ścianą (...), nie licząc już śmieci, tapczanów itp.

Cóż – żal serce ściska. Jak pisze pan Piotr, zamek wzniesiono w 1590 roku przebudowano w latach 1872-75. *Obok znajduje się wspaniały park krajobrazowy, a pod nim ciągną się lochy z XVI wieku. Zamek spłonął w 1931 r. i od tego roku popadł w ruinę.*

Za „największy skarb" autor listu uważa zegar na wieży zamkowej, który chciałby uruchomić. *Napisałem już drugi list do konserwatora zabytków, gdyż wiele można uratować, a nie zniszczyć. Obecnie czekam na odpowiedź.*

Miejmy nadzieję, że entuzjaści poszukiwań zdołają ocalić obiekt w Tworkowie od dalszej dewastacji. Dziękujemy za pozdrowienia, odwzajemniamy ciepłe słowa.

* * *

W nawiązaniu do artykułu p. Krzysztofa Motyla pt. „Głogowskie tajemnice – mity i fakty", który ukazał się w „Odkrywcy" nr 3(9) w kwietniu tego roku, chciałbym podzielić się swoimi refleksjami i spostrzeżeniami dotyczącymi podziemnej części miasta Głogowa. Nie są to na pewno wielkie rewelacje ani też sensacje, ale mogą być przydatne do poznania tej części miasta, tym bardziej że miasto bardzo prężnie się rozbudowuje, już wiele zabytków fortyfikacyjnych zostało (...) zasypanych i na ich miejscu wybudowano całkowicie (...) nowe obiekty, np. droga w kierunku Leszna za mostem na Starej Odrze. (...)

Będąc w wieku młodzieńczym (koniec lat sześćdziesiątych początek lat siedemdziesiątych) jak każdemu chłopcu w tym wieku marzyło mi się, jak i moim kolegom, odkrycie wielkich skarbów, a gdzie (...) szukać, jak nie w podziemiach miasta, w szczególności że krążyły na ten temat fantastyczne opowieści. W tym celu, zaopatrzeni w latarki i nici, poszliśmy do miejskiej fosy, gdzie znajdowało się kilkanaście wejść do różnego rodzaju pomieszczeń i korytarzy. Wejście do opisywanego przeze mnie korytarza znajduje się tuż pod mostem w pobliżu kościelnej kapliczki i prowadził [on] *w kierunku starego poniemieckiego cmentarza znajdującego się po drugiej stronie ulicy. (Krążące opowieści na temat jego przeznaczenia i długości wśród ówczesnej młodzieży były wręcz fantastyczne, począwszy od tego, że na końcu jednej z odnóg znajdowała się podziemna sala operacyjna oraz pomieszczenia szpitalne, gdzie znajdowano dobrze zachowane narzędzia chirurgiczne, inne wersje mówią, że podziemne korytarze ciągną się aż w rejon szpitala na ulicy Kościuszki.)*

Wejście do korytarza zostało oznaczone strzałką na zdjęciu. Najpierw korytarz prowadził prosto (ok. 8-9 metrów), po czym skręcał pod kątem prostym w prawo i po kilku krokach znów skręcał w lewo i prowadził dalej prosto. Po kilkunastu metrach następowało pierwsze rozgałęzienie, po ok. 60 m następowało kolejne rozgałęzienie, a prowadzący prosto korytarz zmniejszał swoją wysokość z dwóch metrów do ok. 0,5 m i prowadził dalej prosto (niestety na wyprawę na czworakach starczyło nam odwagi do 10 metrów, po czym się wycofaliśmy). Zaczęliśmy wówczas penetrację bocznych odnóg, wszystkie one miały ten sam kształt, tj. pod kątem ok. 30 stopni załamywały się i prowadziły dalej prosto, by po około 50-60 metrach znów ulec załamaniu i dalej prowadzić prosto 50 metrów, po czym kończyły się ścianą z cegły lub wysypanym po sklepienie piaskiem, lewe odnogi na drugich załamaniach miały wykute w ścianach z cegły otwory, przez które przecisnęliśmy się do drugiej części korytarza.

Pod koniec lat siedemdziesiątych wszystkie wejścia zostały zamurowane, stało się to po tragicznym wypadku, który miał w nich miejsce. Grupa 3 chłopców wyruszyła na penetrację opisanych przeze mnie korytarzy i w pewnej chwili nastąpił zawał na którymś z odcinków korytarza, dwóch (...) poniosło śmierć pod zwałami gruzu i piasku.

Może ktoś z czytelników „Odkrywcy" penetrował dalsze odcinki opisanego przez mnie korytarza, może zna jego przeznaczenie bądź ma jego poniemieckie plany i będzie chciał się podzielić z czytelnikami „Odkrywcy".

Leszek Szostek, Zgorzelec

Schemat korytarza opisanego przez p. Leszka Szostka; strzałka na fotografii wskazuje wejście
rys. i fot. Leszek Szostek

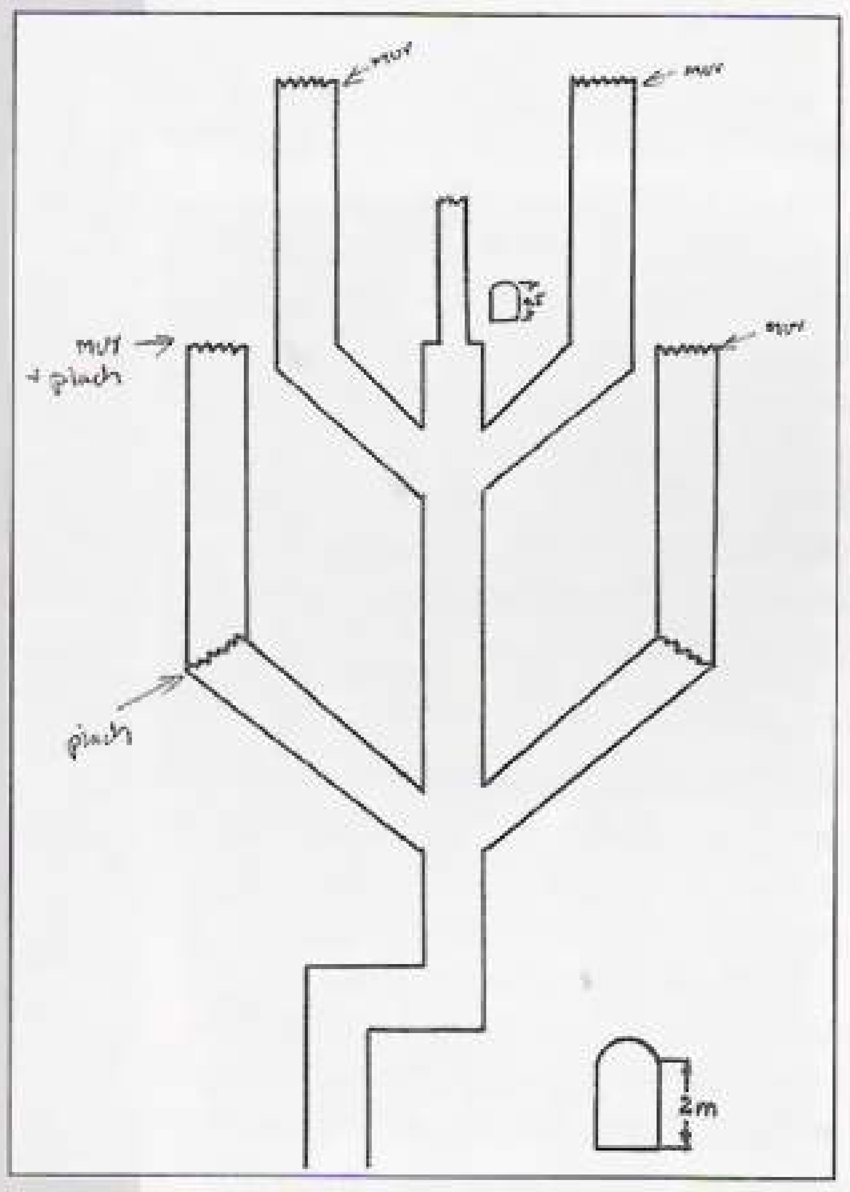

Dziękujemy za interesującą relację. Zamieszczamy nadesłane zdjęcie i plan opisanego w liście korytarza sporządzony przez autora.

* * *

Pan **Dawid Pach** z Gdyni. Miło nam, że tak emocjonalnie traktuje Pan „Odkrywcę". Jesteśmy wdzięczni za uwagi. Jeżeli chodzi o formułę czasopisma, pragniemy zaznaczyć, że „Odkrywca" nie miał być i nigdy nie będzie periodykiem poświęconym WYŁĄCZNIE militariom, jednak miłośnicy tej dziedziny znajdą coś dla siebie w każdym numerze. Pozdrawiamy.

* * *

Bardzo sobie cenimy – co niejednokrotnie podkreślaliśmy – Państwa listy, zawarte w nich propozycje i sugestie. Kontakt korespondencyjny (i telefoniczny), który nawiązujecie Państwo z nami, jest dowodem zainteresowania i życzliwości wobec „Odkrywcy". Czytelnicy uczestniczą w redagowaniu swojego miesięcznika. Cieszymy się, dziękujemy, zapraszamy.

(mar)

„Sekret miedzianej puszki" – polemika

Po przeczytaniu artykułu Radosława Biczaka na temat miedzianej puszki znalezionej na dachu pałacu von Schwerinów w Dąbroszynie, kierując się troską o merytoryczny poziom miesięcznika oraz aby zapobiec powstaniu kolejnej legendy o Bursztynowej Komnacie, postanowiłem napisać krótkie sprostowanie.

Przypomnijmy, iż jeden z dokumentów ukrytych w miedzianej puszce napisała własnoręcznie „Die Hausfrau um 1935 Helene Grafin Schwerin geb. von Klitzing aus Hause Dieckow" czyli „Pani domu w 1935 r. hrabina Helena von Schwerin z domu von Klitzing, z linii dzikowskiej". Na podstawie tej ostatniej nazwy (Dieckow – Dzikowo) Radosław Biczak wykoncypował, że „dwór w Dzikowie, o którym mowa, jest tym samym, do którego wiódł jeden ze śladów Bursztynowej Komnaty".

Otóż jest to wniosek całkowicie fałszywy. Maria Helena von Klitzing nie miała nic wspólnego z Dzikowem (niem. Wildenhof) położonym na Nizinie Staropruskiej koło Górowa Iławeckiego, bowiem urodziła się i wychowała w Dzikowie (niem. Dieckow) leżącym siedem kilometrów na zachód od Barlinka (w obecnym województwie zachodniopomorskim).

W ręce Klitzingów majątek ten przeszedł dopiero w drugiej połowie XIX wieku. Najsłynniejszym przedstawicielem tej gałęzi rodziny był, występujący w źródłach w latach 1914-1929, kapitan w stanie spoczynku Dietrich von Klitzing. To właśnie on był najprawdopodobniej ojcem wspomnianej już Marii Heleny, która w późniejszych latach poślubiła hrabiego Stanisława von Schwerina z Dąbroszyna. Dietrich von Klitzing ożenił się natomiast z Jawajką, która spędziła na tej egzotycznej wyspie większą część swojego życia, gdyż posiadała tam duży majątek ziemski, w tym plantacje kawy.

W Dzikowie mieli Klitzingowie do dyspozycji barokowy pałac oraz ogromny zamek ze 133 pokojami. Uwagę zwracały obory wyłożone kafelkami. W początkach lutego 1945 roku, w rezultacie krwawej bitwy, w której poległo czterdziestu trzech Rosjan, oba pałace uległy zniszczeniu aż do fundamentów. Pozostał jedynie okazały park kryjący w swym gąszczu podziemny grobowiec rodowy. Warto jeszcze dodać, iż poza podbarlineckim Dzikowem posiadali również Klitzingowie wiele innych majątków, rozrzuconych po całych Niemczech. W Prusach Wschodnich należał do nich jedynie znany każdemu Polakowi... Grunwald.

Zbigniew Miler
Gorzów Wielkopolski

Wakacyjna propozycja

Muzeum Górnictwa Węglowego (Zabrze, ul. 3 Maja 19, tel./fax 271 88 31, 271 65 91) zaprasza na wędrówki po zabytkach techniki. Do 29 sierpnia w każdą środę i piątek – wycieczki z przewodnikiem po Zabrzu (spotkanie o 9.45 w muzeum). Bilet normalny kosztuje 8 zł, ulgowy 6 zł.

Trasy:

- Osiedle robotnicze Borsig w Biskupcach (XIX w.), ruiny XVIII-wiecznego spichlerza, spacer po hałdzie – oglądanie panoramy Biskupic.
- Osiedle robotnicze Ballestremów w Rokitnicy (XIX w.)
- Śladami dawnej, XVIII-wiecznej Sztolni Dziedzicznej (od miejsca ujścia na powierzchnię, poprzez istniejącą kiedyś „Wenecję Zabrzańską", do parku im. Poległych Bohaterów. Stalowy dom – eksperyment architektoniczny oraz osiedle robotnicze dawnej „Donnersmarck Hütte".
- Wieża ciśnień (43 m) – najciekawsza wieża wodna w Europie Wschodniej. Zabudowa dawnej kopalni „Królowa Luiza"
- „Guido" – dawna XIX-wieczna kopalnia Donnersmarcków. Zwiedzanie zabudowań nadszybia, wieży i maszyny wyciągowej, spacer do miejsca po szybie „Barbara" oraz do wentylacyjnego szybu „Dorotka".

Fenomen Witkacego

Największa na świecie kolekcja dzieł Stanisława Ignacego Witkiewicza znajduje się w Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku. W 1994 r., z okazji 55. rocznicy śmierci Witkacego, słupskie muzeum zorganizowało sesję naukową poświęconą twórczości tego wszechstronnego artysty. Materiały sesyjne opublikowane zostały w książce pod redakcją Janusza Deglera „Witkacy. Życie i twórczość." Wybitni znawcy tematu omawiają w swoich referatach wybrane zagadnienia związane z twórczością malarską i literacko-filozoficzną Witkacego, a także sięgają do szczególnie interesujących faktów z jego biografii. Okazuje się, że mimo ogromnie wielu opracowań krytycznych fenomen Witkacego wciąż intryguje i stanowi wyzwanie dla badaczy. Bardzo ciekawym uzupełnieniem publikacji są listy Stanisława Ignacego do matki, Marii Witkiewiczowej.

Zamieszczono ponadto informacje o historii słupskiej kolekcji dzieł Witkacego i problemach konserwatorskich.

Książkę „Witkacy. Życie i twórczość" można kupić w Muzeum Pomorza Środkowego – 76-200 Słupsk, ul. Dominikańska 5-9, tel. (059) 842 40 81, fax (059) 842 65 18. Cena 17 złotych.

(mar)

Drugie Lwóweckie Lato Agatowe

Ledwie wróciliśmy z agatowego święta w Lwówku Śląskim, już drukarnia domaga się złożenia sierpniowego numeru. Na razie więc szybciutko tylko informujemy, że było bardzo ciekawie i sympatycznie, a obszerną relację i zdjęcia z Drugiego Lwóweckiego Lata Agatowego zamieścimy za miesiąc.

Sesja witkacologiczna

W Zamku Książąt Pomorskich w Słupsku (ul. Dominikańska 5) 13 i 14 września br. odbędzie się międzynarodowa sesja naukowa „Witkacy. Rozważania w sześćdziesiątą rocznicę śmierci". (Poprzednia sesja poświęcona temu artyście została zorganizowana przed pięcioma laty. Patrz – obok.) W programie – wiele ciekawych wystąpień. Bliższych informacji udzielają pracownicy Działu Sztuki Współczesnej Muzeum Pomorza Środkowego – Beata Zgodzińska i Lucjan Hanak (poniedziałek – piątek, 8.00-15.00; tel. 059 842 40 81).

Informacja w Internecie – http://www.mars.slupsk.pl/mps.

Wbrew pozorom – Witkacy wciąż pozostaje artystą „do odkrywania"...

MISTRZOSTWA POLSKI W PŁUKANIU ZŁOTA
Szklarska Poręba 21-22 sierpnia br. (patrz str. 3)

OGŁOSZENIA BEZPŁATNE

Drukujemy bezpłatnie ogłoszenia zawierające do trzydziestu słów (nie licząc adresu). Prosimy o czytelne pismo! Za treść ogłoszeń nie odpowiadamy. Nie pośredniczymy w wymianie korespondencji.

- POSZUKUJĘ widokówek, medali, książek, exlibrisów, odznaczeń z tematu: Częstochowa, ziemia częstochowska – wydanych do 1945 roku. Posiadam dużo materiału wymiennego – zawsze aktualne. Biernacki, skr. poczt. 636, 42-217 Częstochowa.
- KUPIĘ, wymienię kieliszki do jajek oraz literaturę dotyczącą wyrobów ceramicznych. Sprzedam literaturę na temat fortyfikacji, militariów, gór, wspinaczki oraz kolekcję puszek na produkty spożywcze (lista po przesłaniu koperty ze znaczkiem). Magdalena Gierszal-Nowak, ul. Wierzbięcice 11 m. 1, 61-568 Poznań.
- KUPIĘ lub wymienię zdjęcia i widokówki o tematyce militarnej, okupacyjnej i krajoznawczej, najchętniej sprzed 1950 r. Krzysztof Bojarczuk, ul. Podkurnędz 5A, 97-330 Sulejów, tel. (044) 61 62 586.

Napoleoński biwak

Na pamiątkę bitwy nad Kaczawą w 1813 roku w Warmątowicach odbędzie się trzydniowa impreza plenerowa. Potrwa od 20 do 22 sierpnia 1999 r. (piątek, sobota, niedziela). W programie m.in. potyczka na polanie, pokaz techniki walki w XIX wieku w wykonaniu grup historycznych z Czech, konferencja popularnonaukowa „Barwa i broń epoki napoleońskiej" (Muzeum Miedzi w Legnicy), wystawa „Zamki i pałace Dolnego Śląska", a także występy artystyczne i bal historyczny.

Szczegółowe informacje można uzyskać w Urzędzie Gminy w Krotoszycach, tel. 88 78 421 lub 88 78 422, fax 88 78 370.

Świadczenia dodatkowe | Opłata zł .... gr ......

Nadawca (imię i nazwisko – nazwa)

ulica, nr domu, nr mieszkania, miejscowość

ozn. kodowe | poczta

PRZEKAZ POCZTOWY na zł .... gr

Słownie

ADRESAT WYDAWNICTWO „JMK" – Marek Dudziak
REDAKCJA MIESIĘCZNIKA „ODKRYWCA"
62-510 KONIN, ul. 3 Maja 32
PKO BP O/KONIN 10202746-902450-270-1

Nr nadania | Stempel okręgowy | Dzień nadania | podpis przyjm. | podpis kontr.

Uwaga: Części zakreślone tłustą linią wypełnia nadawca atramentem, długopisem, drukiem, maszyną do pisania lub za pomocą tuszowego odcisku stempla.

PRENUMERATA

Przyjmujemy zamówienia na numery od 8/99 (wrzesień) do 11/99 (grudzień). Cena jednego egzemplarza wynosi 5 złotych. Prosimy wypełnić przekaz pocztowy według wzoru, na odwrocie napisać, które numery Państwo zamawiacie i wysłać odpowiednią kwotę pod adresem Wydawnictwa.

BARDZO PROSIMY O CZYTELNE WYPEŁNIENIE PRZEKAZU I PODANIE DOKŁADNEGO ADRESU, POD KTÓRY MAMY WYSŁAĆ „ODKRYWCĘ".

Otrzymaliśmy katalogi

ofertowe

- Krakowskiego Antykwariatu Naukowego (31-014 Kraków, ul. św. Tomasza 8, tel./fax 012 421 21 43). 520 pozycji – książki (tematyka różna) i czasopisma.
- Antykwariatu „POLIART" Beaty Kalke (42-600 Tarnowskie Góry, skr. poczt. 69, tel./fax 032 285 74 39). 1088 pozycji. Książki dotyczą historii Polski.

Odkrywanie w Internecie

Podyskutujmy o minerałach
http://www.man.lodz.pl./MINERALY

Strona dla zbieraczy i kolekcjonerów minerałów, a także dla wszystkich, którzy chcą dyskutować na temat geologii, skamieniałości, meteorytów oraz wypłukiwania złota. Zapowiedziano wymianę informacji i zamieszczanie ogłoszeń o mineralogicznych zjazdach, giełdach, wystawach.

Osoby zainteresowane tą tematyką odsyłamy też na strony: http://pc69.wbc.lublin.pl/Mineraly/Muzea/ (wykaz muzeów mających zbiory minerałów), http://pc69.wbc.lublin.pl/Mineraly/Harmonogram/gieldy_polska.html (harmonogram giełd minerałów w Polsce), http://pc69.wbc.lublin.pl/Mineraly/Literatura/ (bibliografia tematu).

Muzeum Inkluzji w Bursztynie
http://pasat.ocean.univ.gda.pl/~zoolbez/muzeum.htm

W czerwcu ubiegłego roku w Katedrze Zoologii Bezkręgowców Uniwersytetu Gdańskiego została powołana nowa pracownia – Muzeum Inkluzji w Bursztynie. Jej celem jest gromadzenie, inwentaryzacja, przechowywanie oraz badanie inkluzji zwierzęcych, roślinnych i nieorganicznych w bursztynie bałtyckim, a także kolekcjonowanie naturalnych odmian i form bursztynu. W „bursztynowej" placówce można oglądać bezkręgowce liczące sobie – bagatela – czterdzieści milionów lat. Ciekawe informacje, ciekawy kontakt, ciekawa strona.

Osiemset fajek
http://www.poznaniak.com.pl/388/html/36/_poz_st_2.html

Marek Stanielewicz kolekcjonuje fajki. Ma ich około ośmiuset. Przypuszcza, że to największa kolekcja w Polsce. Najcenniejszym eksponatem jest kalumet, czyli fajka obrzędowa należąca do Indian ze szczepu Siuksów. Marek Stanielewicz mówi, że obecnie najwyższej jakości fajki, bruyerki, produkuje sie z bulwiastych korzeni wrzośca (wrzosiec rośnie tylko na Korsyce, w Sardynii, Albanii, Algierii i we Włoszech). W Polsce bruyerki wytwarzane są w Przemyślu (w siedemnastu zakładach!) Pod względem jakości nie ustępują produktom renomowanych wytwórni zagranicznych i bardzo dobrze się sprzedają na całym świecie.

A skoro mówimy na ten temat, warto podać jeszcze jeden adres – Federacji Polskich Klubów Fajki: http://www.kki.net.pl/fajkabyd/ Strona główna odsyła do działów poświęconych m.in. historii fajki, wytwórcom, importerom, kolekcjonerom, klubom, czasopismom, a nawet... poezji związanej z fajkowym hobby.

Zaproszenie do Niedzicy
http://www.zakopane.onet.pl/zamek.htm

Historia, legenda, opowieści o skarbach, urokliwa przyroda – wszystko to znajdziecie w niedzickim zamku. Zamkowy hotel oferuje kilkadziesiąt miejsc noclegowych. Turyści z mniej zasobnymi portfelami mogą skorzystać z miejsc o niższym standardzie. A gdyby ktoś miał taką fantazję (i oczywiście pieniądze) – może zlecić urządzenie w starej twierdzy bankietu, wesela, balu itp.

Miłośnicy statków
http://www.statki.3miasto.pl/shiplovers/links.html

Mowa tu o Klubie Miłośników Statków i Okrętów, który jeszcze nie istnieje, ale który – jak pisze autor – powinien powstać. „Nie chodzi o żadną sformalizowaną i scentralizowaną organizację. Chodzi raczej jedynie o forum wzajemnej pomocy w odnajdowaniu się i w kontaktach pomiędzy ludźmi o podobnych zainteresowaniach." Jest to więc właściwie zaproszenie do stworzenia takiego „morskiego" klubu. Mogą wstąpić do niego również osoby niedoświadczone, początkujący „miłośnicy jednostek pływających"; liczy się przede wszystkim ich zaangażowanie.

Motocyklowe szaleństwo
http://tytan.umcs.lublin.pl/~pchmiel/polmot.htm

O motocyklach prawie wszystko – historia polskiego przemysłu motocyklowego, rady dotyczące nabywania, remontowania i prawidłowej eksploatacji starych motocykli, dane techniczne maszyn, strony domowe klubów, informacje o ludziach związanych z omawianą dziedziną, słowem – motocyklowy zawrót głowy.

Zobacz także: http://www.zdz.krakow.pl/~knowak/index.html oraz http://www.bytuch.com.pl/mirek/

MD, mar

Strona internetowa „Odkrywcy"
www.odkrywca.lm.pl

Wystawy

• Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku – **„Rozjaśnianie ciemności. Lampy i świeczniki z kolekcji Jerzego W. Hołubca"**. Ekspozycja zbiorów prywatnego kolekcjonera pasjonującego się historią oświetlenia. Na wystawie zgromadzono świeczniki, lampki oliwne, lampy olejne, naftowe i elektryczne oraz grafikę „oświetleniową". Eksponaty pochodzą z różnych krajów i różnych epok. Z ciekawostek wymienić można m.in. ręcznie kutą misę do topienia wosku, wiejski (czyli porcelanowe lampki olejne będące zarazem podgrzewaczami ziółek) czy secesyjną lampę w kształcie pawia. Wystawa w Zamku Książąt Pomorskich czynna będzie do 29 sierpnia.

W sąsiednim budynku muzealnego kompleksu – Spichlerzu Richtera do 17 września można oglądać interesującą ekspozycję **„Fotografie Krzysztofa Gierałtowskiego"**. W obiektywie autora znalazły się znane postaci świata kultury. (A obok sali wystawowej jest sympatyczna herbaciarnia oferująca kilkadziesiąt gatunków herbat. Serdecznie polecam!)

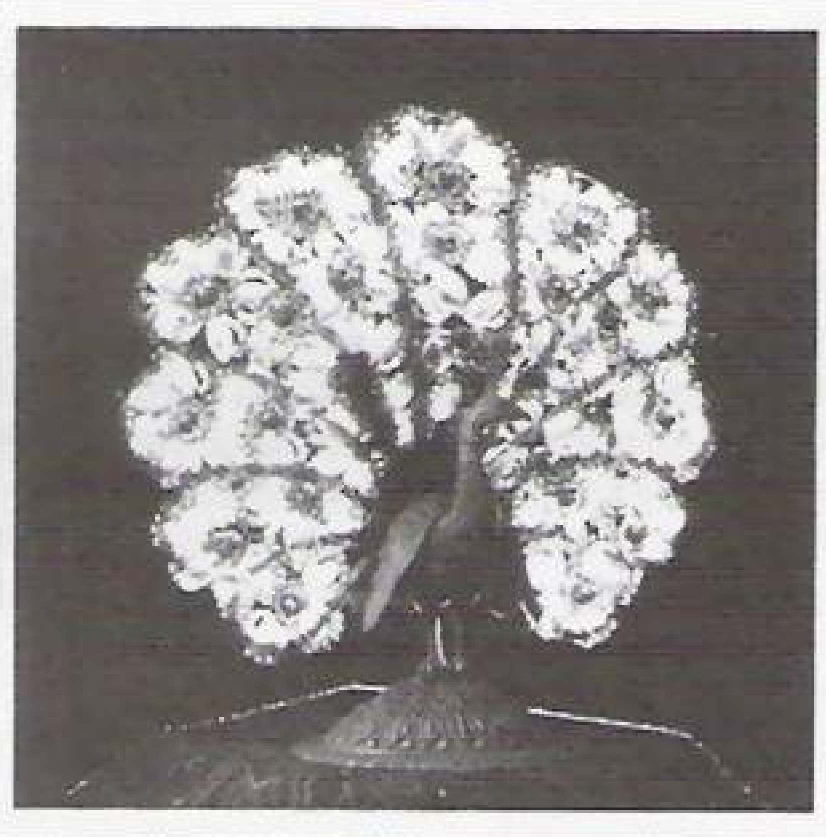

Secesyjna lampa – „paw" oraz świecznik nożycowy z XVII/XVIII w. (Śląsk) – eksponaty z wystawy „Rozjaśnianie ciemności"
fot. z archiwum Jerzego W. Hołubca

• Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrzu – **„Jan Paweł II w trosce o świat"**. Wystawa prac Adama Bujaka, jednego z najsławniejszych współczesnych fotografików polskich, osobistego fotografa Jana Pawła II. Oglądanie ekspozycji to wędrowanie z papieżem-Polakiem przez różne chwile jego życia. Prezentowane fotogramy składają się na swoisty portret psychologiczny Jana Pawła II.

Druga wystawa fotograficzna w Muzeum Górnictwa Węglowego – **„Zabrzańskie kościoły"** – obejmuje prace uczniów Liceum Sztuk Plastycznych w Zabrzu. Pokazują one budowle i sztukę sakralną miasta.

Obie ekspozycje – do końca sierpnia.

• Zbiory Marii Skalnickiej w Ustroniu (ul. 3 Maja 68) – **„Średniowieczne narzędzia tortur"**. Wystawę sprowadzono z Włoch. Składa się na nią około sześćdziesięciu eksponatów (zebranych z terenów Niemiec, Austrii, Włoch i Hiszpanii), które budzą grozę. Pod takimi nazwami jak krzesło inkwizytorskie, buty hiszpańskie czy stół do rozciągania kryją się wymyślne instrumenty służące do zadawania bólu, wykorzystywane przez średniowiecznych egzekutorów prawa. Wystawę prezentowano wcześniej w Zamku Książ. W Ustroniu pozostanie do 29 sierpnia.

(mar)

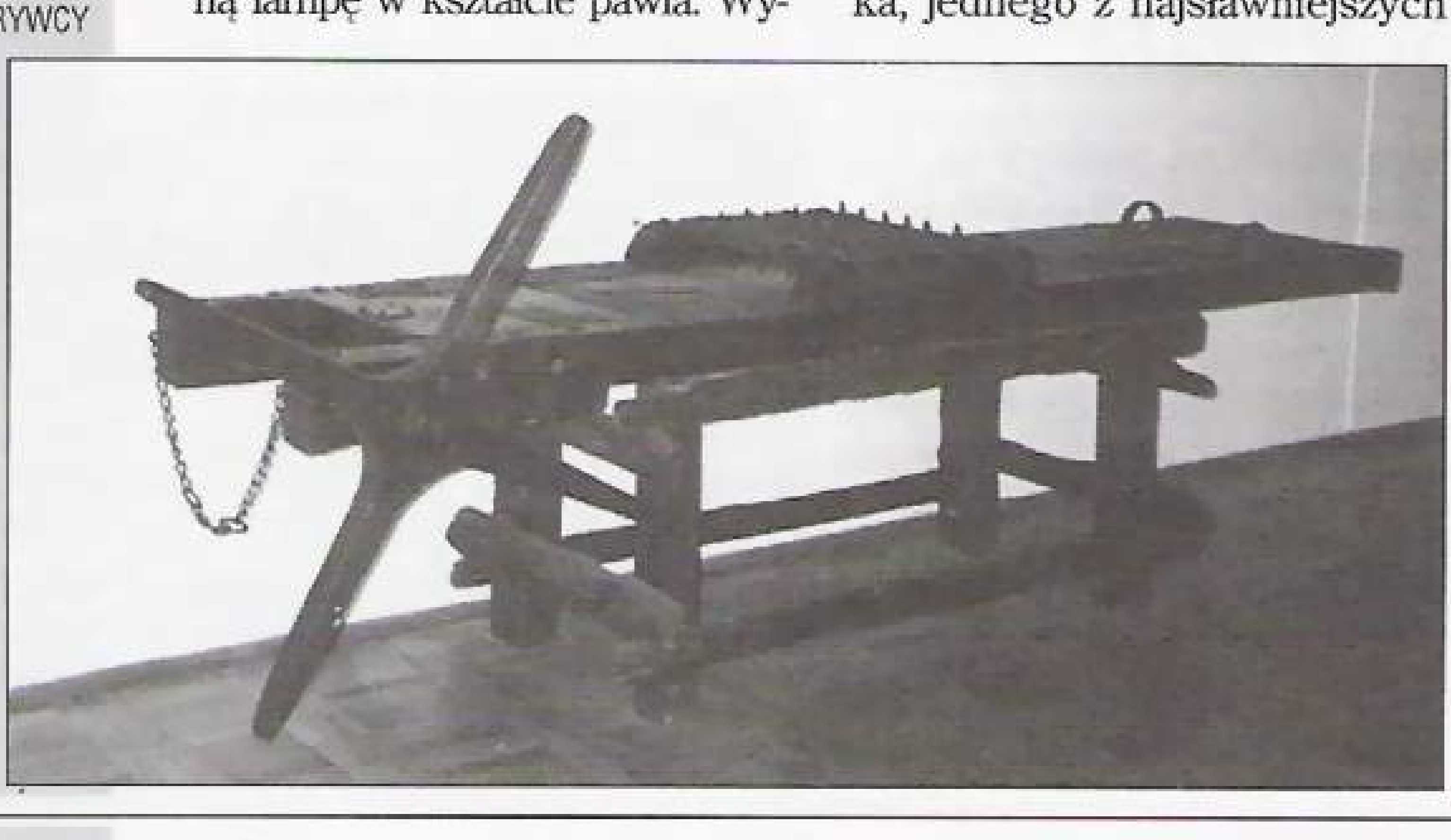

Stół do rozciągania – eksponat z wystawy „Średniowieczne narzędzia tortur"
fot. z archiwum ODKRYWCY

O tym się pisze

BURSZTYNOWY ŚLAD

Towarzystwo Poszukiwania Zabytków zamierza wystąpić do wojewódzkiego konserwatora zabytków o zezwolenie na wznowienie poszukiwań Bursztynowej Komnaty w Pasłęku. W ubiegłym roku w Pasłęku ekipa poszukiwaczy skarbów odnalazła zabytkowe przedmioty z XIX i XX wieku. W kontynuacji badań przeszkodził zarówno brak środków, jak i trudności natury formalnej. Poszukiwacze jednak nie poddają się i chcą kontynuować prace. Zainteresowanych pasłęckim śladem Bursztynowej Komnaty odsyła autor do materiałów zgromadzonych przez międzynarodową konferencję naukową pt. „Bursztynowa Komnata – ślad pasłęcki – fakty i mity", która odbyła się w 1997 r.
(wu-ka *Bursztynowy ślad*, „Gazeta Olsztyńska" – 8.06.1999 r.)

ODKRYCIE W OŁAWIE

W Oławie u zbiegu ulic Brzeskiej i Browarnianej odkryto fragmenty Bramy Brzeskiej oraz browaru i słodowni. Najstarsze zabytki – ułamki naczyń ceramicznych – pochodzą z XIII wieku. W średniowieczu – pisze Elżbieta Guzowska – przez środek działki u zbiegu ulic Browarnianej i Brzeskiej przebiegał mur obronny. Wjazdu do miasta strzegła Brama Brzeska. Przed murem przebiegała fosa, a w czasach późniejszych – umocnienia bastionowe. W XVI w. do bramy dobudowano pomieszczenie, które mogło służyć jako skład celny. W 1834 r. zawalił się przylegający do bramy budynek więzienia i runęło wtedy sklepienie wieży bramnej. W rok później bramę i więzienie rozebrano, a na ich miejscu postawiono browar i słodownię. Ekipa archeologów bada też sąsiednie piwnice. Dotychczas znaleziono srebrne sztućce i... dziecięce zabawki.
(Elżbieta Guzowska, *Skarb oławski*, „Gazeta Wrocławska" – 23.06.1999 r.)

NUREK TRYMIKSOWY

Po raz pierwszy w historii polskich badań podwodnych nurkowie zeszli na głębokość prawie 60 metrów i odnaleźli wrak parowca zatopionego prawdopodobnie podczas II wojny światowej. Na pokładzie statku badawczego „Doktor Lubecki" znaleźli się naukowcy z Centralnego Muzeum Morskiego i Instytutu Morskiego w Gdańsku, trzej doświadczeni nurkowie oraz ROV. ROV (remonte operated vehicle) to niewielki pojazd do badań podwodnych wyposażony w kamery, sterowany z pokładu statku badawczego. Sprawdził się doskonale. Członkowie ekspedycji oglądali film zarejestrowany kamerą ROV na głębokości 58 metrów. By zejść na głębokość 60 metrów, trzeba mieć certyfikat nurka trymiksowego. Niedawno certyfikat taki otrzymało sześciu pierwszych nurków w Polsce, w tym dwóch uczestników wyprawy: Grzegorz Bernaciak i Stanisław Chomentowski, którzy zeszli do wraku statku, obejrzeli sterówkę, relingi, bulaje.
Wody Bałtyku kryją nie tylko statki zatopione podczas II wojny światowej. Archeolodzy z Muzeum Morskiego chcieliby odnaleźć wrak szwedzkiego okrętu admiralskiego „Christina", który zatonął w 1628 r. między Jastarnią a Helem.
Muzeum posiada informacje o wielu wrakach zatopionych na głębokości około 60 metrów. To wyzwanie dla trymiksowych nurków.
(Dorota Karaś, *Tajemniczy wrak*, „Gazeta Wyborcza" – 14.06.1999 r.)

SKARBY KARPACKICH GRODZISK

W Muzeum Okręgowym w Krośnie otwarto niecodzienną wystawę. (Wspomnieliśmy o tym w poprzednim numerze „Odkrywcy".) Znalazło się na niej ponad pięć tysięcy eksponatów archeologicznych datowanych między XX wiekiem przed Chrystusem a XIII wiekiem naszej ery, odkrytych niedawno w polskich Karpatach. Wśród nich znajduje się relikwiarz świadczący o wierze praprzodków w świętość przybyszów z kosmosu. Według ustaleń archeologów, od epoki brązu do wczesnego średniowiecza w polskich Karpatach istniało prawie sto drewnianych grodzisk. Do najbardziej znanych należały m.in. Trzcinica koło Jasła, Trepcza nie opodal Sanoka, Wietrzno w pobliżu Krosna i Lubenia niedaleko Rzeszowa. Autorzy wystawy szczegółowo przedstawili historię grodzisk w Trzcinicy i Trepczy. Jerzy Ginalski, kierownik wykopalisk w Trepczy, zwrócił uwagę na krzyż, który zamiast relikwii związanych z chrześcijaństwem, zawierał fragment meteorytu. Penetracją polskich Karpat zajmują się obecnie archeolodzy z Polskiej Akademii Nauk Uniwersytetu Jagiellońskiego i Muzeum Okręgowego w Krośnie. Od kilku lat organizowane są także wspólne badania z naukowcami ze Słowacji i Ukrainy.
(Beata Sypuła, *Skarby Karpat*, „Dziennik Zachodni" – 31.05.1999 r.)

CHŁOROPIKTRYNA W FORCIE VIII

Fort VIII toruńskich fortyfikacji usytuowany jest w pobliżu lotniska. Już w latach pięćdziesiątych w okolicach VIII Fortu toruńskich umocnień znajdowano zbiorniki z brunatną cieczą, która powodowała duszności i czerwone plamy na skórze. W 1953 r. czterech chłopców natrafiło przy jednym z bunkrów na kilkadziesiąt takich butli. Dopiero w maju tego roku niedaleko ulicy Polnej w Toruniu znaleziono butelki z chloropikryną – gazem używanym przez Niemców w czasie drugiej wojny światowej. Zneutralizowano ich ponad tysiąc. Zdaniem Pawła Frątczaka, rzecznika prasowego Państwowej Straży Pożarnej w Toruniu, nie ma nawet technicznych możliwości zbadania terenu toruńskich fortów. Paweł Frątczak uważa, iż „sprawę tę znać powinien Wydział Ochrony Środowiska Urzędu Miejskiego". Aleksandra Przybyła – naczelnik tegoż wydziału – twierdzi, że jak dotąd nikt nie wykonał badań ani też nie poszukiwał butli z gazem. Miasto nie ma możliwości przeprowadzania poszukiwań. Jednak chloropiktryna istnieje i stanowi niewątpliwie zagrożenie dla osób, które nawet przypadkowo zwiedzając toruńskie forty zetkną się z nią.
(Radosław Rzeszotek, *Trucie podziemne*, „Nowości" – 27.07.1999 r.

NIEZNANY DOLNY ŚLĄSK

Joanna Lamparska, niestrudzona poszukiwaczka skarbów i tajemnic, zamieszcza interesujące publikacje we wrocławskim „Słowie Polskim" nie tylko „do czytania w fotelu", ale także do odkrycia „Dolnego Śląska, którego nie znacie". Autorka przedstawia historię dolnośląskich zamków, zarówno tę najstarszą, jak i tę XX-wieczną, pełną tajemnic i nie odkrytych do dziś skarbów III Rzeszy. Porusza również jakże istotny problem prywatyzacji dolnośląskich zamków i pałaców. Okazuje się bowiem, że „w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy Agencja Własności Rolnej Skarbu Państwa sprzedała na Dolnym Śląsku ponad dwadzieścia zabytków. Mają różne ceny – od kilkunastu do kilkuset tysięcy złotych". Sprzedany został Piotrówek koło Niemczy, Dalków koło Głogowa, Borów, Brzezice, Malczyce, Piotrówek Świdnicki. Do przetargu przygotowywane są między innymi pałace w Małuszowie i Strudze. Obiekty zabytkowe kupują przede wszystkim bogate firmy, traktujące te inwestycje jako lokatę kapitału. „Łatwo jest kupić zamek czy pałac – pisze Joanna Lamparska – potem zaczynają się schody. Obiekt należy zabezpieczyć, niekiedy powoli odbudowywać, rekultywować zabytkowy park". Wymaga to dużych nakładów finansowych, na które nie wszystkich stać. Czytelnikom zainteresowanym problematyką Dolnego Śląska, jego najstarszą i najnowszą historią, proponujemy kontakt z Joanną Lamparską, dziennikarką wrocławskiego „Słowa Polskiego".
(Joanna Lamparska, *Dolny Śląsk jakiego nie znacie*, „Słowo Polskie" – 28.05.1999 r.)

NASZYJNIK SPRZED 2500 LAT

W Osobnicy koło Jasła w przydomowym ogródku znaleziono dwa naszyjniki wykonane z brązu sprzed 2500 lat. Dyrektor Muzeum Okręgowego w Krośnie Jan Gancarski twierdzi, że jest to pierwsze tego typu znalezisko w polskich Karpatach. Przedmioty należy datować na początek epoki żelaza, czyli na około 700-500 lat przed narodzeniem Chrystusa. Odkrycie w Osobnicy świadczy o wpływach w Karpatach kultur ludów żyjących na terenie dzisiejszej centralnej lub północnej Polski. Skarb przekazany został do Muzeum Okręgowego w Krośnie, gdzie stanowi ozdobę wystawy „Skarby karpackich grodzisk", a w miejscu, gdzie został odkryty, archeolodzy przeprowadzą dalsze szczegółowe badania.
(ar, *Skarb w ogródku*, „Nowiny" – 31.05.1999 r.)

COŚ DLA KOLEKCJONERA

Jeśli wśród czytelników „Odkrywcy" znajdzie się kolekcjoner kart telefonicznych, to zapewne zainteresowany będzie najciekawszymi kartami papieskimi. Pierwszą na świecie serię papieską na kartach telefonicznych wydała w 1991 r. Telekomunikacja Polska. Upamiętniono wówczas spotkanie Jana Pawła II z młodzieżą. Karta z papieżem w czerwonej szacie, nazywana przez fonotelistów „czerwonym papieżem", należy do kolekcjonerskich rarytasów.
Najbardziej poszukiwane karty papieskie to:
- karty z Papui – Nowej Gwinei z 1995 r. związane z beatyfikacją pierwszego Papuasa w historii Kościoła,
- karty wyprodukowane przez Włochów dla Filipin dla upamiętnienia wizyty Jana Pawła II w Manili w 1995 r.,
- seria chorwacka (6 sztuk) z napisami w językach chorwackim i angielskim,
- karty słoweńskie i seria wenezuelska (4 sztuki),
- prywatna karta austriacka z adnotacją na rewersie o wysokości nakładu (500 sztuk),
- karta próbna Autonomii Palestyńskiej z reprodukcją znaczka pocztowego przedstawiającego Ojca Świętego.

(kup, *Poszukiwane „papieskie karty"*, „Dziennik Łódzki" – 19.06.1999 r.)

Opracowała
Jola Dudziak

Podręcznik turystyki górskiej

„Ostrzeżenie – chodzenie po górach bywa czynnością niebezpieczną. Wybierając się w góry robisz to wyłącznie na swoją odpowiedzialność. Ludzie ulegają w górach poważnym wypadkom, a nawet giną. Nigdy o tym nie zapominaj, również gdy idziesz na pozornie łatwą wycieczkę." Takie motto zamieścił Maciej Tertelis w swoim „Podręczniku turystyki górskiej". Jest to pierwsza publikacja, która w kompleksowy sposób przedstawia problemy związane z szeroko pojętą turystyką górską, turystyką kwalifikowaną i początkami wspinaczki.

W kolejnych rozdziałach autor przedstawia odmiany turystyki górskiej – samodzielną, z przewodnikiem, z dziećmi, z osobami niepełnosprawnymi, zaawansowaną oraz taternictwo, także jaskiniowe. Intersująco opisuje wyposażenie niezbędne górskiemu turyście – ubranie, buty, plecak, śpiwór, namiot, naczynia itd., uwzględniając parametry, przydatność i komfort. Ciekawą częścią publikacji są rozdziały dotyczące podstaw meteorologii, nawigacji terenowej jak również strategicznego i taktycznego przygotowania do wyjazdów w góry.

Osobny rozdział to podstawy taternictwa, obejmujący m.in. style wspinaczkowe, trudności i klasy dróg wspinaczkowych, najważniejsze węzły, sposoby asekuracji oraz podstawy autoratownictwa. Dużym walorem książki jest zamieszczenie adresów placówek Górskiego Pogotowia Ratunkowego, agencji turystycznych i przewodnickich, powierzchniowych klubów wspinaczkowych, szkół wspinaczkowych, a także firm zajmujących się dystrybucją odzieży sportowej. Gorąco polecamy lekturę „Podręcznika...", powinien on znaleźć się w wakacyjnym plecaku tych, którzy zamierzają wyruszyć na górskie wędrówki, a takich osób jest na pewno sporo. Jak zauważa autor: „Każdy ma takie miejsce na ziemi, w którym czuje się najlepiej. Dla wielu z nas są nim góry."

Jola Dudziak

> *Podręcznik turystyki górskiej. Lato* autorstwa Macieja Tertelisa można nabyć w księgarni wysyłkowej wydawcy w cenie 33,00 zł za egzemplarz. Należność prosimy wysłać przekazem pocztowym na adres:
>
> **PELTA**
> **ul. Świętokrzyska 16**
> **00-050 Warszawa**
>
> **Koszty przesyłki pokrywa wydawca**

Ponure oblicze Temidy

Przez wieki w majestacie prawa poddawano ludzi wymyślnym i przerażającym torturom. W Polsce badania w dziedzinie archeologii prawnej rozpoczęto dopiero przed kilkunastu laty (w innych państwach – już w XIX wieku). Książka profesora Tadeusza Maciejewskiego „Narzędzia tortur, sądów bożych i prób czarownic" bardzo obrazowo przedstawia „ciemną stronę prawa". Owe narzędzia – jak pisze autor w przedmowie – „w sposób bezsprzeczny spełniają warunki zaliczenia ich do zabytków archeologiczno-prawnych. Dodatkowo jeszcze charakteryzuje je jednorodność tematyczna, gdyż wszystkie one służyły do zadawania cierpień fizycznych w procesach karnych, a w hierarchii ogólnych środków dowodowych w różnych okresach czasów ceniono je prawie zawsze najwyżej."

W publikacji omówione zostały podstawy prawne stosowania tortur w starożytności i średniowieczu oraz w czasach nowożytnych, wygląd typowej izby tortur, obowiązki kata. (Jest m.in. przykład katowskiego cennika; w Tczewie w 1660 r. za łamanie kołem kat pobierał cztery dukaty, za obcięcie ucha – jeden dukat itd.) Na podstawie protokołów sądowych przedstawiono przebieg tortur z podziałem na etapy. Zasadniczą część książki stanowi opis narzędzi tortur, ilustrowany zdjęciami i rycinami. Pomysłowość ludzka w zadawaniu cierpień drugiemu człowiekowi wydaje się być niewyczerpana, a okrucieństwo – bezgraniczne. Co gorsza – najwyraźniej leży ono w naturze gatunku *homo sapiens*. Na tle średniowiecznych (ale funkcjonujących powszechnie jeszcze w pierwszej połowie XVIII wieku!) sposobów wymuszania zeznań metody stosowane przez gestapowców, NKWD czy UB wyglądają wręcz blado. (Warto przy okazji zaznaczyć, że w Polsce ostatni proces o czary odbył się w Doruchowie w 1775 r., a tortury oficjalnie zniósł sejm warszawski w 1776 r.)

Książka Tadeusza Maciejewskiego to lektura pouczająca i zarazem przerażająca. Autor zaznacza, że ostateczny jej kształt zawdzięcza materiałom przekazanym mu przez organizatorów sprowadzonej z Włoch wystawy „Średniowieczne narzędzia tortur". (O wystawie piszemy na str. 17.) Książkę można kupić właśnie na tej wystawie.

(mar)

Tadeusz Maciejewski: *Średniowieczne narzędzia tortur, sądów bożych i prób czarownic*. Wydawnictwo Miscellanea, Koszalin 1997.

„Kolekcjoner Łomżyński"

Otrzymaliśmy siódmy numer czasopisma wydawanego przez Polskie Towarzystwo Numizmatyczne Oddział w Łomży. Oprócz komunikatów i notowań giełdowych w najnowszym „Kolekcjonerze Łomżyńskim" znajdziemy m.in. następujące materiały:

- Wojskowy pieniądz zastępczy z Osowca
- Kolekcje sportowe LZS „Biebrza" Goniądz
- Pamiątki po legionistach internowanych w Łomży

Jest także kilka tekstów o medalach i wspomnienie o Mirosławie Putkowskim – łomżyńskim księgarzu, filateliście, wydawcy pocztówek.

Redakcja mieści się gościnnie w Muzeum Północno-Mazowieckim, ul. Krzywe Koło 1, 18-400 Łomża. Informacje można uzyskać także w łomżyńskim PTN, ul. Rządowa 10 m. 16.

Telefony: 216 55 67, 216 49 15 (redaktor naczelny, wydawca), 219 83 58 (sekretarz redakcji).

„Osowieckim szlakiem"

W Twierdzy Osowiec splatają się pięknie – jak mówi Mirosław Worona, „Dobry Duch Twierdzy" – historia i przyroda. Pewnie stąd pomysł redagowania miesięcznika historyczno-przyrodniczego „Osowieckim szlakiem". Czasopismo poświęcone jest głównie historii lokalnej i problemom ochrony nadbiebrzańskiej przyrody. Znajdziemy tu także informacje turystyczne oraz artykuły dotyczące militariów.

Adres Redakcji:
19-252 Osowiec-Twierdza
tel. (058) 716 22 69 w. 292

Uwaga: Prezentowaną w poprzednim numerze „Odkrywcy" **książkę Aleksandra Gąsiorskiego „Pieniądz zastępczy w Częstochowie"** można kupić w Księgarni-Antykwarni „Niezależna", ul. Kopernika 4, 42-200 Częstochowa.

Częstochowski jubileusz

„Częstochowski Magazyn Numizmatyczny" obchodzi dziesięciolecie istnienia. W jubileuszowym zeszycie znajduje się dużo ciekawych materiałów. Możemy przeczytać m.in. o skarbie wyrobów brązowych z Łobodna, mało znanych medalach częstochowskich, łódzkich nalepkach charytatywnych z okresu międzywojennego i numizmatycznych pamiątkach wejścia Polski do NATO. Ponadto – bogaty „Kalejdoskop wydarzeń" i „Kronika" Stowarzyszenia Archeologiczno-Numizmatycznego.

„Odkrywca" gratuluje jubileuszu i życzy wielu następnych.

Adres Redakcji: ul. W. Kossaka 26, 42-200 Częstochowa, tel. (034) 365 86 99

Z „Odkrywcą" przez świat

Skarby naprawdę są wszędzie. Autor niniejszego artykułu, zamieszczonego we współpracującym z „Odkrywcą" francuskim czasopiśmie „Trésors & Détections", szuka ich – z powodzeniem – w... starych latrynach. W średniowiecznych dołach kloacznych można znaleźć najrozmaitsze przedmioty, w tym również monety i kosztowności. No cóż, „pieniądze nie śmierdzą", zwłaszcza gdy sławojka nie używana od kilkuset lat...

SKARBY LATRYN LUB KIEDY PIENIĄDZ NIE ŚMIERDZI

Od kilku lat zaangażowany jestem (i to z dużym powodzeniem) w formę poszukiwań, która na pierwszy rzut oka mogłaby niejednego zadziwić, ale która, jak się okaże, daje niewiarygodne owoce. Przeszukuję jedynie średniowieczne latryny i za każdym razem jestem pewien, że odniosę sukces. Ta dziwna pasja zrodziła się podczas przekopywania dziedzińca Luwru w Paryżu. Trafiłem wówczas na zaskakujące odkrycie, które bardzo zakłopotało historyków, aż do momentu, gdy jeden z nich (sprytniejszy niż inni) rozwiązał ostatecznie zagadkę.

Podczas sondowania odnaleziono jakiś bardzo stary dół, który był całkowicie wypełniony rzadkimi pieczęciami woskowymi i ołowianymi z epoki średniowiecza. To nieoczekiwane dobrodziejstwo z nieba zapewniło długie lata pracy historykom, sygilografom oraz wszelkiego rodzaju poszukiwaczom. Długo żadawano sobie pytanie o przyczynę istnienia takiego cmentarzyska pieczęci. Skąd one mogły pochodzić?

Faktycznie owa fosa nie była śmietnikiem na rękopisy, ale po prostu dawną kloaką. W średniowieczu udawano się tam, by załatwić naturalną potrzebę, z tym co było pod ręką i czego zastosowanie można odgadnąć. Przeważnie były to przeczytane już informacje na pergaminie, które skądinąd zostały zachowane w jednym tylko celu: aby wypełniać doły latryn. Z czasem papiery i pergaminy gniły. Pozostały po nich jedynie tysiące pieczęci woskowych i ołowianych zgromadzonych na stosie.

Jak wielu archeologów, to odkrycie rozbawiło i mnie. Mniej więcej w tym samym czasie trafiłem w jakiejś gazecie na fragment opisujący dziwne odkrycie, którego dokonał pewien mieszkaniec Bordeaux. Nie mogąc zrozumieć, dlaczego w jego piwnicy (starej już) stale panowała wilgoć, przebił mur i znalazł się w labiryncie korytarzy prowadzących daleko od jego domu. Nie była to, jak początkowo myślał, sieć podziemnych przejść, ale układ odprowadzający zużytą wodę, do którego były podłączone wszystkie latryny domów należących do burżuazji dawnego Bordeaux. Oglądając to miejsce z latarką zdziwił się, gdy odnalazł na ziemi (wmieszane w szarawy pył) żetony, średniowieczne monety i wszelkiego rodzaju przedmioty, jedne dziwniejsze od drugich, ale wszystkie bardzo stare. Każdego wieczoru wyprawiał się na poszukiwania w tych starych ściekach, nie wykorzystywanych od średniowiecza, odkrywając nieprawdopodobną kolekcję przedmiotów, które bardzo różniły się od siebie, ale którym czas nadał niebywałą wartość.

W jakiś czas później, zwiedzając potężny zamek Fougéres w Ille-et-Vilaine, ja również znalazłem kilka z tych dawnych latryn. Zauważyłem, że gdy już raz zwróciłem uwagę na te „konstrukcje", niechybnie odnajdywałem je w każdym starym budynku, do którego pozwolono mi wejść. Nigdy się nie zawiodłem. To niewiarygodne, co można tam znaleźć! Oprócz żetonów i monet – również naparstki, kości do gry, broń, ale przede wszystkim klejnoty, pierścionki i bransolety – połamane i w dobrym stanie. Długo zastanawiałem się, co owe przedmioty mogły robić w takim miejscu. Nie zostały tam wyrzucone, lecz raczej zgubione. W większości przypadków po prostu wyśliznęły się z rąk właściciela, który chciał je zdjąć i odłożyć w jakiś zakamarek, aby umyć sobie ręce.

Wierzcie mi, prowadzę badania już od pięćdziesięciu lat. Długo próbowałem zlokalizować „typowe" miejsca, szczególnie obfitujące w znaleziska, lecz nigdy na nie nie natrafiłem, aż do chwili gdy odkryłem niezwykłe bogactwo dolnych części zwykłych latryn. Nie istnieje żadne inne miejsce, które by mnie tak zaskoczyło i przyniosło takie wspaniałe odkrycia. Stopniowo udało mi się ustalić prawdziwą typologię latryn średniowiecznych.

Typologia dawnych systemów odprowadzających

Zależnie od tego, czy znajdujemy się w centrum miasta, czy w odosobnionym zamku, można odnaleźć wiele typów latryn. Najpierw trzeba wiedzieć, że te ujścia nie służyły jedynie do obrzydliwej czynności, którą mamy na myśli. Tamtędy płynęła też woda do mycia. Poza tym owe ujścia pełniły również funkcję zsypów na śmieci. Nie dziwi więc fakt, że można w nich odkryć taką rozmaitość przedmiotów – od pierścionków i bransolet, przez pieczęcie, aż do broni.

Zaznaczyłem wyżej, że w miastach systemy odprowadzające zużytą wodę przedstawiały się jako obszerne podziemne sieci kanalizacyjne, do których wpadało wiele podobnych do siebie ujść. Po tak długim czasie nie należy obawiać się owych miejsc; te małe korytarze są naprawdę czyściutkie, zawsze pokryte warstwą swego rodzaju popiołów, łatwych do rozpoznania, będących produktem rozkładu nieczystości. To tam znajduje się najwięcej przedmiotów. Wszysto, co zostało wrzucone do latryn, gromadziło się w obiegu zamkniętym i pozostawało tam. Postęp w systemach kanalizacyjnych dokonał się dopiero w XVIII wieku. Ogromna ilość dawnych sieci została porzucona i po prostu zamurowana. To temu faktowi nasz genialny poszukiwacz z Bordeaux zawdzięcza swą niezwykłą kolekcję.

Oprócz takich właśnie systemów spotykanych jedynie w miastach istniało jeszcze to, co nazywa się „nadziemnymi (powietrznymi) systemami odprowadzającymi". Zużyta woda, odpadki – wszystko było spychane na obrzeża murów jakiejś wieży lub ściany przy pomocy machikułów. Ze względów bezpieczeństwa, lecz również po to, by zachować ciepło, pokoje zawsze były umieszczane w górnej części zamku bądź wieży. To stamtąd, z góry, wypływały ścieki. Kiedy już nauczycie się rozpoznawać te rynny i ich ujścia wzdłuż murów, będziecie mogli niezawodnie odnaleźć je we wszystkich dawnych siedzibach, w których się znajdziecie.

Generalnie więc system znajduje się u góry. Z zewnątrz przypomina rodzaj kominka bez podłogi. Nieczystości odprowadzane były wzdłuż murów do fosy. To pod tymi właśnie konstrukcjami, które czasem mogą być monumentalne, znajdują się skupiska przedmiotów najbardziej niezwykłych.

Aby dokładnie uświadomić sobie, na czym polegały te systemy, można rzucić okiem na dzieło flamandzkiego malarza Brueghela. Specjalizował się w przedstawianiu scen wiejskich i bardzo często umieszczał na swoich obrazach systemy latryn, zresztą – przeważnie gdy były używane (jak można sądzić po krągłych pośladkach, które z nich czasem wystawały). Bywało, że systemy odprowadzające wbudowywano w mury. (Piękne przykłady można zobaczyć w Saint-Malo lub Mont Saint-Michel.) Nieczystości uchodziły u podstawy, między starymi

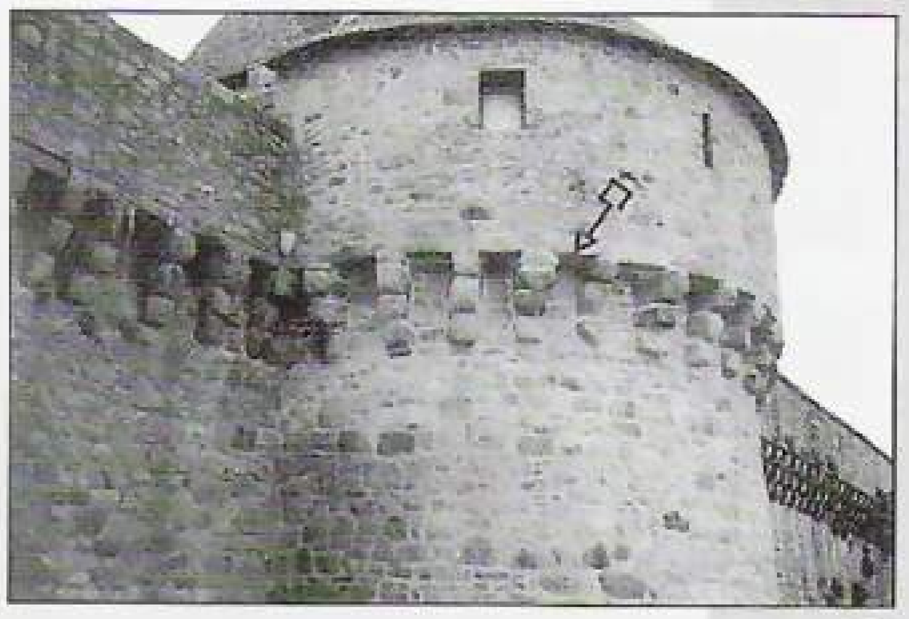

Tędy płynęły również skarby... **fot.** z „Trésors & Détections" nr 46

kamieniami, niekiedy do kilku miejsc, jednak wszystko zbierało się poniżej, w specjalnie przygotowanych dołach, które były najczęściej porzucane lub pobieżnie zasypywane, gdy przestawano korzystać ze starego systemu.

Co można odnaleźć pod takimi systemami? Po trochu wszystko, jak zauważyliśmy wyżej. Gromadziło się tutaj nie tylko to, co wyrzucano lub gubiono. Znajdujemy też przedmioty celowo schowane. W telewizji czy w kinie widzieliście tysiące razy powtarzany gest handlarza narkotyków lub małego dealera ściganego przez policję i zamykającego się w toalecie, aby tam pozbyć się towaru. A ten gest jest znany nie od dziś. Od zawsze doły na nieczystości były najlepszym miejscem na pozbycie się kłopotliwych rzeczy: przedmiotów kradzieży, broni, którą popełniono przestępstwo.

Jeżeli pewnego dnia zdecydujecie się przeszukiwać dawne latryny, możecie się spodziewać znalezienia wszystkiego! I jeszcze jedno: Nie szczędźcie trudu; kloaczne doły mogą być bardzo głębokie.

Yves Chapelier
Przekład Agata Konińska

(„Trésors & Détections" nr 46, marzec-kwiecień 1999, s. 26)

...na wszystkie żywioły!

GORE-TEX® Footwear

LM S.A.

® wyłączny przedstawiciel
HAIX – Schuhe GmbH

Przedsiębiorstwo LM S.A. jest wyłącznym przedstawicielem producenta specjalistycznych butów ochronnych HAIX –SCHUHE. Firma HAIX , dzięki zastosowaniu do produkcji obuwia najwyższej jakości materiałów, jest od 50 lat wiodącym producentem na rynku niemieckim.

Professional HAIX® High Tech

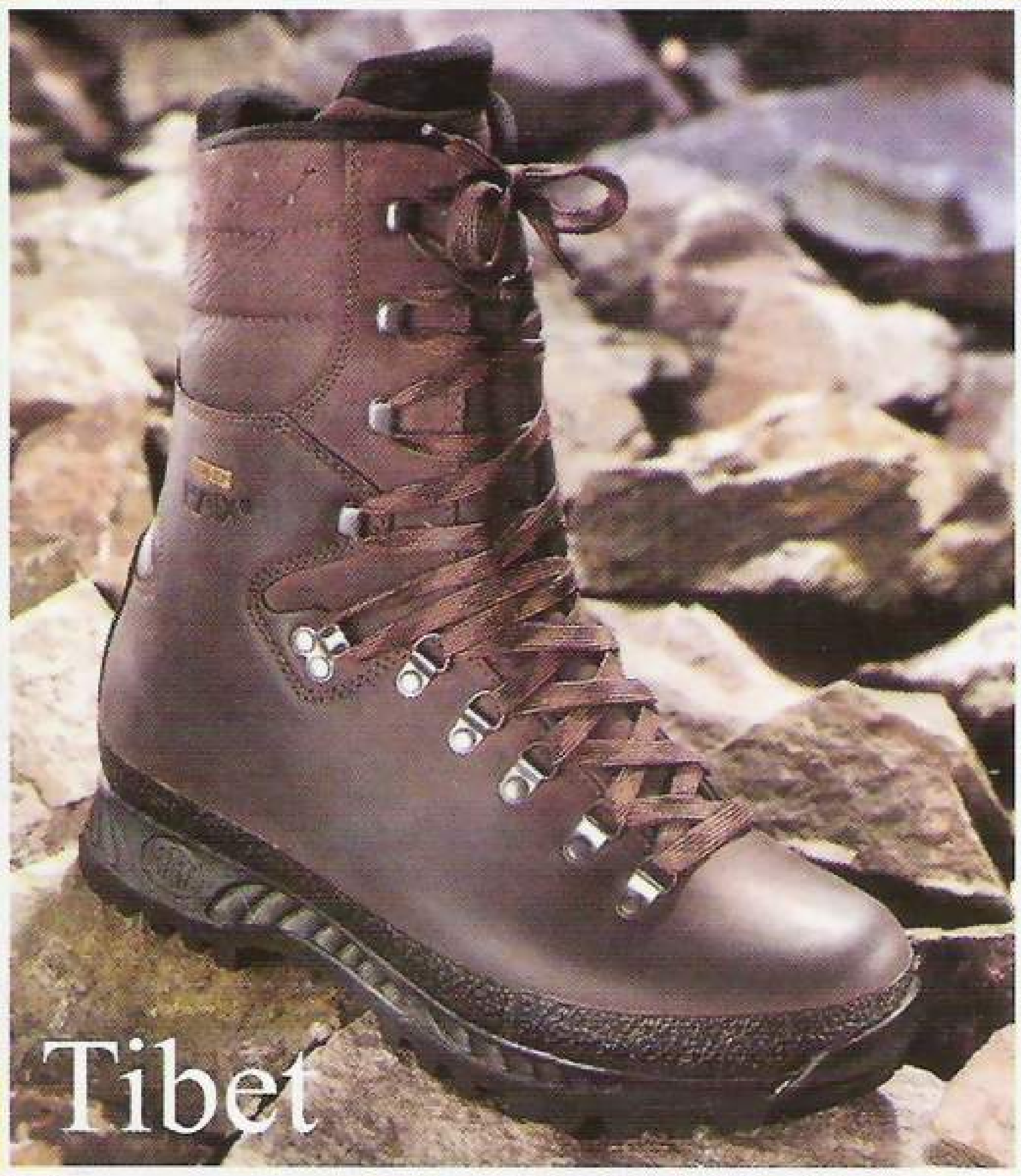

- Skóry wołowe pochodzące ze szwajcarskich i niemieckich garbarni są wolne od środków chemicznych i metali ciężkich szkodliwych dla zdrowia.
- Dla zapewnienia optymalnego komfortu użytkowania buty posiadają membranę klimatyczną GORE-TEX®.
- Podeszwa typu VIBRAM® zapewniająca właściwą przyczepność na każdym rodzaju podłoża.
- Cholewka wykończona materiałem poliamidowym o strukturze siateczkowej, pozwalającej na szybkie oddawanie wilgoci.
- Sznurowadła z KEVLARU® nie absorbujące wody i brudu.
- Elementy metalowe odporne na korozję.

Pragniemy zaproponować Państwu wykonane z nubuku modele NEPAL i TIBET, które z całą pewnością spełnią wszystkie oczekiwania pokładane w profesjonalnym obuwiu trekkingowym. Doskonałe także dla leśników i myśliwych.

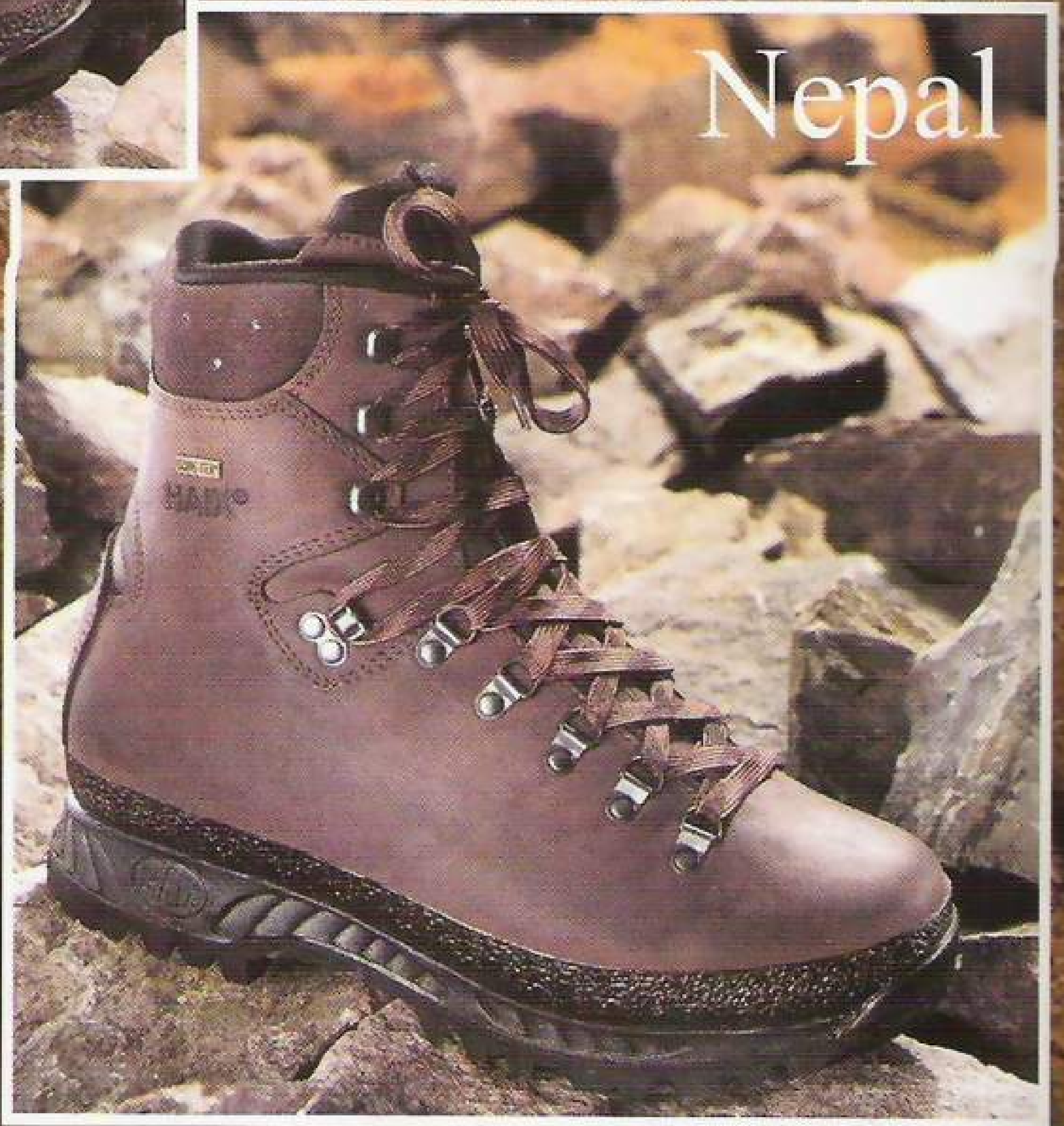

LM

62-510 Konin, ul. Zakładowa 14
tel. (063) 245 63 08, fax (063) 245 63 09
bezpłatna infolinia techniczna 0-800 162 30
e-mail: bhp@lm.com.pl
http://www.bhp.lm.com.pl